



DWUKROPEK:

MIESIĘCZNIK HISTORYCZNO-KULTURALNY

Święta Bożego Narodzenia

Jan Długosz: kronikarz dziejów Polski

Władysław Reymont: pierwszy noblista Niepodległej

Tadeusz Ajdukiewicz: malarz dworów europejskich







REDAKCJA

Joanna Majksner-Pińska

tel. +27 21 424 7144

kom. +27 83 330 9661

e-mail: joanna@musiccape.co.za

SPONSORZY

J. M. Piński, MusicScape, Ambasada RP w Pretorii,
Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana
Olszewskiego, J. W. Przybyłowicz

INFORMACJI w sprawie rocznej prenumeraty,
pojedynczych egzemplarzy, archiwum
oraz ogłoszeń i reklam udziela redakcja „Dwukropka”
joanna@musiccape.co.za

W numerze:

KALENDARIUM

Święta Bożego Narodzeniaa str. 4

ECHA

Koncert z okazji Święta Niepodległości str. 10

ROCZNICE

Jan Długosz str. 13

Władysław Reymont str. 23

Tadeusz Ajdukiewicz str. 32

Marian Walentynowicz str. 38

Józef Hofmann str. 42

Jerzy Ofierski str. 44

WARTO WIEDZIEĆ

Szlachta polska str. 18

KLUB BIBLIOFIŁA

Odyseusz str. 27

SPACERKIEM PO HISTORII

Lwówek Śląski str. 31

TO I OWO

Śledź polimeroway str. 35

oraz

GALERIA, KĄCIK LITERACKI, HUMOR,

Projekt okładki: Marek Piński



WYDZIAŁ KONSULARNY AMBASADY RP W PRETORII

adres: 14 Amos Str., Colbyn,
PRETORIA 0083

telefony: +27 12 430 2631, + 27 12 430 2632

faks: +27 12 430 2608

e-mail: konsulat.pretoria@msz.gov.pl

www.gov.pl/web/rpa

*Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw
Zagranicznych w ramach konkursu pn. Polonia i Polacy
za granicą 2023 ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa
Rady Ministrów*

*Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/autorów
i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem
Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Fundacji Pomoc
Polakom na Wschodzie im. Jana Olszewskiego*

Redakcja zastrzega sobie prawo do selekcji, skracania i korekty nadsyłanych tekstów oraz nie ponosi odpowiedzialności
za prezentowane w nich poglądy.



**Zdrowych, spokojnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz wszelkiej pomyślności w Nowym Roku
życzy
Redakcja "Dwukropka"**



Boże Narodzenie w muzyce

„Oratorium na Boże Narodzenie” Jana Sebastiana Bacha, „Dziadek do orzechów” Piotra Czajkowskiego i II Symfonia „Wigilijna” Krzysztofa Pendereckiego to utwory, które obok kołęd idealnie nadają się do słuchania w czasie Bożego Narodzenia.

Temat Bożego Narodzenia inspirował twórców od zawsze. W baroku dzieła instrumentalno-wokalne wokół tego wydarzenia pisali np. Bach i Haendel. Z kolei artyści epoki romantyzmu chętnie pisali dzieła sceniczne o Bożym Narodzeniu albo o świątecznych zwyczajach, przykładem może być np. najsłynniejsze chyba świąteczne dzieło „Dziadek do orzechów”. Również w XX wieku temat ten przewijał się w różnych gatunkach muzycznych.

„Oratorium na Boże Narodzenie” Jana Sebastiana Bacha to formalnie rzecz biorąc cykl sześciu kantat, które były wykonywane zależnie od swego przeznaczenia w święta Bożego Narodzenia, w Nowy Rok, w niedzielę po Nowym Roku oraz podczas uroczystości Trzech Króli (po raz pierwszy od 25 grudnia 1734 do 6 stycznia 1735 r.). Odpowiednio więc treść rozpoczyna się od momentu narodzin Je-

zusa, a kończy na przybyciu mędrców ze Wschodu. Bach pracował jako kantor w protestanckich kościołach - m.in. w kościele św. Tomasza w Lipsku. Kompozytor był zobowiązany do wykonania w każdą niedzielę i święto nowej kantaty. Repertuar ten tworzył sam.

Inne barokowe oratorium, które zawiera bożonarodzeniowe motywy, to „Mesjasz” Georga Friedricha Haendla i chociaż do zbiorowej świadomości osób, które nie są melomanami, weszło ono dzięki słynnemu „Alleluja”, to zawiera też części opowiadające o narodzeniu zbawiciela. Dzieło zostało skomponowane w zaledwie 24 dni do tekstów Charlesa Jennensa, które powstały na podstawie protestanckiej Biblii Króla Jakuba oraz Modlitewnika Powszechnego. Prawykonanie odbyło się 13 kwietnia 1743 r. w Dublinie i odniosło wówczas olbrzymi sukces.

Concerto Grosso op. 6 nr 8 zwane „Nocą Bożego Narodzenia” autorstwa mistrza włoskiej muzyki instrumentalnej, barokowego kompozytora Arcangel Corellego, nie zawiera z kolei ani żadnego

cytatu słownego, ani też muzycznego. Odnosi się do świąt poprzez specyficzny klimat, radość i charakter pastoralny.

W muzyce romantyzmu również odnajdziemy bożonarodzeniowe motywy. W Chopinowskim Scherzu h-moll op. 20 kompozytor wplótł melodię „Lulajże Jezuniu”. „To utwór skomponowany na emigracji, przepełniony niepokojem o losy kraju i tęsknotą za rodziną. Symbolem tych uczuć jest zacytowanie słynnej polskiej kolędy, której aura otulała go zapewne ciepłym wspomnieniem” – tak opisano Scherzo h-moll na stronie Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina.

Z kolei rosyjscy kompozytorzy tej epoki Piotr Czajkowski i Nikołaj Rimski-Korsakow są twórcami scenicznych dzieł świątecznych. „Dziadek do orzechów” Czajkowskiego obecnie nierozzerwalnie związany jest ze świątami. Po premierze w 1892 r. nie wzbudził jednak dużego entuzjazmu. Libretto według opowieści Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmanna napisał Marius Petipa, francuski choreograf i tancerz, maître zespołu petersburskiego baletu. Premiera „Dziadka do orzechów” odbyła się w Teatrze Maryjskim w Petersburgu. Jak podaje Teatr Wielki-Opera Narodowa, legenda głosi, że podobno Hoffmann napisał opowiadanie o dziadku do orzechów, „gdy mieszkając w starej kamienicy na Nowym Mieście, wyrzekał na... Warszawę: ‘Pstrokaty to świat! Za hałaśliwie – za dziwacznie – za obco – wszystko pomieszane. Gdzie znaleźć czas na pisanie?’”.

Czteroaktowa opera Rimskiego-Korsakowa „Noc wigilijna” czerpie z tekstów ukraińskich kolęd. Kompozytor sam napisał libretto na podstawie „Nocy wigilijnej” Nikołaja Gogola. Premiera odbyła się również w Teatrze Maryjskim, ale trzy lata później.

Współcześnie do Bożego Narodzenia nawiązał w swojej II Symfonii Krzysztof Penderecki. Nosi ona tytuł „Wigilijna”, a kompozytor wykorzystuje w niej czterodźwiękowy motyw z kolędy „Cicha noc”. Utwór swoją premierę miał podczas Warszawskiej Jesieni w 1981 r. W książce programowej festiwalu Stanisław Welanek zauważył, że dramaturgia II Symfonii polega „na ścieraniu się – jak na symfonię przystało – dwóch przeciwstawnych wartości: tego, co konsonansowe, dążące do harmonii, ‘wigilijne’ –



oraz gwałtownego, posługującego się melodycznymi i harmonicznymi dysonansami dramatyzmu”.

Witold Lutosławski opracował w 1946 r. „20 kolęd polskich” na głos i fortepian. Słowa i melodie zaczerpnął z XIX-wiecznych zbiorów – „Śpiewnika kościelnego” i „Pastorałek i kolęd z melodyjami” Michała Mioduszeńskiego oraz dwóch części wielotomowego dzieła Oskara Kolberga „Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce”. Lutosławski skorzystał z tomów „Lubelskie” i „Łęczyckie”. Po 40 latach kompozytor na życzenie angielskiego wydawcy stworzył wersję na sopran solo, chór żeński i orkiestrę. „20 kolęd polskich” to m.in. „Anioł pasterzom mówił”, „Gdy się Chrystus rodzi”, „Jezus Malusienki”. Kolędy te nie są jednak zaaranżowane w sposób tradycyjny, Lutosławski wykorzystał w ich opracowaniu środki typowe dla XX-wiecznych technik kompozytorskich. Na przykład kolęda „Bóg się rodzi” została zupełnie pozbawiona charakteru poloneza.

Żyjący w XX wieku Olivier Messiaen był więźniem obozu koncentracyjnego Stalag VIII A w Zgorzelcu. Tam właśnie skomponował swój słynny „Kwartet na koniec czasu”. Po wyjściu z obozu dostał zlecenie z radia francuskiego na dwanaście utworów stanowiących tło dla recytacji wierszy Maurice’a Toeski dotyczących narodzenia Jezusa. Początkowo dzieło miało mieć rzeczywiście 12 części, ale ostatecznie Messiaen skomponował ich dwadzieścia. Cykl zadedykował swojej uczennicy, która została później jego drugą żoną, pianistce Yvonne Loriod. To właśnie ona wykonała utwór po raz pierwszy w Konserwatorium Paryskim w 1944 r. Co ciekawe, utwory te ostatecznie nie zostały wykorzystane w audycji radiowej. Kompozytor każdą z części cyklu opatrzył komentarzem.

Olga Łozińska



Boże Narodzenie u polskich literatów

Boże Narodzenie u polskich pisarzy. Jak wyglądały święta w domach poetów? Boże Narodzenie u Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Czesława Miłosza i wielu innych

WIGILIA U JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Wigilijną noc 1836 roku Słowacki spędził wraz z przyjacielem Ludwikiem Brzozowskim na pustyni w pobliżu wioski El Arish (północna część Półwyspu Synaj). Wraz z dalekim szumem Morza Śródziemnego wróciła tęsknota poety za ojczyzną. Towarzysz wędrówki grał mu na czekaniku (flecie) wiejską polską kolędę, której słuchał z rozrzewnieniem. Tamtej pamiętnej nocy Słowacki przeżył także najokropniejszą burzę, jaką kiedykolwiek widział. Wspominał o potwornej ulewie i piorunach, które groziły śmiercią. Z kolei już następną noc polscy wędrowcy spędzili u Grobu Chrystusa w Betlejem, gdzie uczestniczyli we mszy świętej odprawianej przy żłóbku Dzieciątka. W trakcie tego przejmującego wydarzenia serce romantyka „napęliło się jakąś prostotą i światłością”.

PARYSKIE WIGILIE ADAMA MICKIEWICZA

Na początku lat 30. XIX wieku Adam Mickiewicz przeprowadził się z Drezna do Paryża, gdzie spędził ponad 20 lat życia. W 1834 roku ożenił się z Celiną Szymanowską, z którą miał sześcioro dzieci. Najstarsza córka poety Maria (nazywana pieszczotliwie Marynią) tak wspominała po latach święta w domu rodzinnym: „W każdą Wigilię, także wieczorem, dawało się nagle słyszeć za drzwiami kolędę W żłobie leży, któż pobieży, której ojciec z widocznym rozrzewnieniem słuchał (...). Byli to przyjaciele i znajomi, którzy zawsze z miłą wstępowali niespodzianką. Wieczór często kończył się (...) tańcami i polonezem, w którym ojciec występował zawsze, powtarzając, że to jedyny taniec piękny, poważny, dla każdego stosowny...”. Córka Mickiewicza wspomina także, że na stole zawsze znajdowało się puste nakrycie przeznaczone dla samotnych, a w ostatnich latach życia poety do domu przychodziła polska Żydówka, aby ugotować szczupaka po żydowsku. Warto

także zwrócić uwagę na fakt, że Wigilia była dla Adama Mickiewicza świętem potrójnym – 24 grudnia obchodził swoje urodziny i imieniny. Rano składano mu życzenia i wręczano podarki, z kolei wieczorem „na stole sianem zasłanym ukazywała się Wigilia; na nitce spuszczonej z sufitu wisiała gwiazda z opłatkiem i kolebka, które ojciec sam przygotował”. Dla poety przebywającego na emigracji Boże Narodzenie miało charakter święta religijno-patriotycznego.

BOŻE NARODZENIE W BRONOWICACH

Młodopolski malarz Włodzimierz Tetmajer, czyli Gospodarz z Wesela Wyspiańskiego, po ślubie z Anną Mikołajczykówną zamieszkał w Bronowicach Małych, gdzie kultywował stare szlacheckie obyczaje, dokładając do nich lokalne zwyczaje chłopskie. W 1898 roku artysta opublikował pracę *O godach i godnich świętach Bożego Narodzenia w Krakowskim*, którą bogato zilustrował. Dowiadujemy się z niej o zwyczaju mycia się w wigilijny poranek w pieniądzech wrzuconych do miednicy „po to, aby się pieniądze człowieka trzymały”. Z kolei podczas sprzątania izby „jeśli w domu jest robactwo, np. pluskwy, karakony, tedy zamiótlszy śmieci pod próg, wynoszą (to robactwo) drugiemu sąsiadowi, oczywiście ukradkiem, aby owady na cały rok tam prze-wędrowały”. Wieczór wigilijny rozpoczynał się tuż po wzejściu pierwszej gwiazdy. „Gospodyni stawia misę na stół w owo gniazdo ze siania”. Gospodarz prowadził modlitwę, po której następowało łamanie opłatkiem. „Zanim rozpoczną jeść, gospodarz obraca się do okna i woła trzy razy: Wilcosku, wilcosku! Siądź z nami do obiadu, ale jak nie przydziesz dziś, nie przychodź nigdy”. Kolejność potraw była następująca: 1. Groch rzadko ugotowany, 2. Suszone śliwki i gruszki, 2. Kluski z makiem na miodzie, 4. Żur z grzybami. Po wieczerzy domownicy pili wino lub miód. „Żadnej potrawy (ani opłatka) nie zjada się całkiem, ale z każdej potrawy zostaje na misce dla gadziny [zwierząt]”.

BOŻE NARODZENIE 1767 ROKU U BISKUPA IGNACEGO KRASICKIEGO

W przeddzień Wigilii 1767 roku Ignacy Krasicki przybył do Fromborka, aby objąć tam biskupstwo warmińskie. Uroczysty ingres (czyli objęcie władzy biskupa nad diecezją) rozpoczął się 24 grudnia o godz. 22:00. Wówczas Krasicki w pro-



cesji w towarzystwie księży, kanoników i dworzan przeszedł z pałacu do katedry. W Boże Narodzenie o poranku odmówił brewiarz, następnie celebrował mszę świętą, a wieczorem ponownie modlił się wraz z kanonikami. Na koniec dnia odprawił kolejne nabożeństwo. 26 grudnia również cały dzień spędził na modlitwie w katedrze. Biorąc pod uwagę ówczesne mrozy, było to nie lada poświęcenie.

ŚWIĘTA MAŁEJ MARII PAWLIKOWSKIEJ-JASNORZEWSKIEJ

W Krakowie tuż za gmachem domu towarowego Jubilat znajduje się otoczony starym murem mocno zniszczony dworek. To w nim wraz z żoną mieszkał malarz Wojciech Kossak – ojciec Marii (znanej później jako Maria Pawlikowska-Jasnorzewska) i Magdaleny (Samożwaniec). Dziewczynki były przez ojca rozpieszczane i traktowane z ogromną czułością – to matka nakładała na nie dyscyplinę. Mimo że pobierały edukację domową, na nauce spędzały zdecydowaną część dnia. Już w dzieciństwie biegle posługiwały się językiem niemieckim i francuskim. W Wigilię do domu Kossaków przychodził Aniołek, który zostawiał dziewczynkom prezenty. Jednak nie zawsze były one zgodne z wolą obdarowywanych. Zamiast upominków z listy marzeń zazwyczaj przynosił papeterię lub kolejne wydanie Pana Tadeusza. Siostry



zdecydowanie bardziej wyczekiwały 6 grudnia. Wówczas za świętego mikołaja przebierała się ich opiekunka, a one odgrywały domową akademię. Żeby dostać prezenty, musiały śpiewać, recytować i odgrywać sztuki Fredry.

BOŻE NARODZENIE W DOMU RODZINNYM CZESŁAWA MIŁOSZA

Czesław Miłosz przyszedł na świat w 1911 roku w polskim dworze, toteż został wychowany w znanych jego przodkom tradycjach katolickich. W rozmowach z Aleksandrem Fiutem opowiedział o tradycyjnych potrawach wigilijnych serwowanych w jego rodzinnym domu: „Na Boże Narodzenie, muszę powiedzieć, że pamiętam kutię. Kutia jest zasadniczo zupełnie niepolska, ale już cała Małopolska Wschodnia знаła kutię. To jest ukraińskie. Kutia to są ziarna pszenicy w miodzie. Wszystko inne było takie jak w innych częściach Polski, mam wrażenie, z tym że był duży nacisk na rozmaite kisielki. Żurawinowy kisiel itd. Było jeszcze coś, co w Polsce centralnej było nieznanne, to były śliżyki z sytą. Śliżyki to są małe kawałki ciasta, twarde, zapiekane, które się podaje i polewa sytą. A syta to jest po prostu miód z rozartym makiem i z wodą. Taki płyn”. Charakter świąt Bożego Narodzenia, które Miłosz zapamiętał z dzieciństwa, często odbijał się w jego twórczości. Tradycje świąteczne opisał między innymi w *Dolinie Issy*. Z kolei z jego utworu *Modlitwa wigilijna* z 1938 roku przebija się prośba o obdarowanie w tym dniu radością każdego samotnego, opuszczonego, skrzywdzonego i załamane człowieka.

PIERWSZE ŚWIĘTA LITERATÓW W OKUPOWANEJ WARSZAWIE

Zima 1939/1940 była wyjątkowo śnieżna i mroźna (w styczniu w Siedlcach zanotowano oficjalnie -40°C), co dotkliwie odczuli Polacy będący pod okupacją niemiecką. Mimo że wojna rozpoczęła się zaledwie trzy miesiące wcześniej, w grudniu jej konsekwencje dotknęły nawet elit, które jeszcze przed rokiem spędzały okres przedświąteczny na hucznych balach. W „Nowym Kurierze Warszawskim” można było wówczas przeczytać o tym, jak profesorowie warszawskich gimnazjów zarabiają na chleb, oferując pod Poczta Główną pisanie podań w języku niemieckim. Z kolei poeta Karol Irzykowski tak wspominał zmagania pisarzy z trudną codziennością: „W kilku cukierniach i kawiarniach nasi literaci sprzedają



książki przy osobnych stolikach, ale im nie idzie. Zrobili tylko Andrzejewski, Podhorska, którzy sprzedawali własne książki. Żałosny proceder. Wanda Melcer zajęła się handlem butami, podobno dobrze jej idzie”. Zofia Nałkowska, która wówczas prowadziła sklepik z tytoniem, zapisała: „Wczorajszą Wigilię spędziłyśmy we trzy – bez ceremonii i smutku. Nie było nawet choinki, którą wprawdzie kupiłam, ale później musiałam podarować chłopcu niemającemu jej za co kupić dla swojej rodziny”.

ADAM WAŻYK – KRYTYK RELIGIJNEGO CHARAKTERU BOŻEGO NARODZENIA

Tymczasem we Lwowie znajdującym się pod okupacją sowiecką propaganda nie tylko krytykowała religijny charakter Bożego Narodzenia, ale również traktowała obchodzenie tego święta jako bezowocny czas, który odciąga klasę robotniczą od pracy. W dyskusji na łamach ukazującego się wówczas „Czerwonego Sztandaru” głos zabrał Adam Ważyk. W swoim artykule *Radziecka choinka* z 1 stycznia 1940 roku napisał: „Witamy rok 1940 jako początek nowej dla nas epoki, pobudkę i zaprawę do pracy, wolnej i szczęśliwej, którą mamy rozwijać w coraz mocniejszym rytmie. I witając nowy rok, nie wygłaszamy bezmyślnych wróżb, konwencjonalnych życzeń sobkowskiej pomyślności. Nasze życzenia – to okrzyk: pomnażajmy zastępy szturmowców!”.

źródło: internet



śTp

Paweł Jakubowski

Zmarł 4 listopada 2025

Rodzinie Zmarłego wyrazy szczerego
współczucia składa
Redakcja „Dwukropka”



Koncert z okazji Święta Niepodległości: 8 listopada 2025



zdjęcia: Jolanta Mesjasz-Przybyłowicz



Ministry of Foreign Affairs
Republic of Poland

Embassy of the Republic
of Poland in Pretoria

MUSICSCAPE
Live Stream

Saturday 8th of November 2025 18h30

CONCERT

ISAAC VAN DER MERWE

PIANO RECITAL

*Bach-Busoni Beethoven
Chopin Rachmaninoff*





JAN DŁUGOSZ

610. ROCZNICA URODZIN

Jan Długosz był jednym z najwybitniejszych historyografów średniowiecza, nazywany ojcem polskiej historiografii. Bez wątpienia jego najbardziej znanym i największym dziełem są Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego (*Annales seu cronicae incliti Regni Poloniae*), historia Polski od czasów bajecznych do 1480 roku.

Urodził się w 1415 roku w Brzeźnicy w ziemi sieradzkiej. Był czwartym z kolei synem Jana z Niedzielska herbu Wieniawa i Beaty, córki Marcina z Borowna. Ojciec Jana Długosza otrzymał starostwo brzeźnickie za zasługi w wojnie z zakonem krzyżackim – przede wszystkim za udział w bitwie pod Grunwaldem. Później dostał także podrzędztwo w Nowym Mieście Korczynie. Tam właśnie sześciolatek Jan rozpoczął naukę w szkole parafialnej. W 1428 roku Długosz zapisał się na Wydział Sztuk Wyzwolonych Akademii Krakowskiej, gdzie za sprawą Jana Dąbrowskiego i Sędziwoja z Czechła zainteresował się historią. Studiował dzieje dawne, tak domowe [m.in. na podstawie Kroniki Wincentego Kadłubka – red.], jako i postronne [literatura klasyczna]. Doskonale opanował również język łaciński.

Naukę w Akademii zakończył w 1431 roku, bez uzyskania żadnego stopnia naukowego. W tym samym roku został notariuszem w kancelarii biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, który, ceniąc jego pracowitość, zalety umysłu, talent organizacyjny i spolegliwość, awansował go najpierw na sekretarza, a następnie kanclerza. Długosz doskonale prowadził kancelarię biskupią, uporządkował jej archiwum, administrował też dobrami biskupstwa i kapituły oraz dbał o prywatne interesy Oleśnickiego (po śmierci biskupa był egzekutorem jego testamentu). W 1436 roku przyjął święcenia kapłańskie i został kanonikiem krakowskim.

Dzięki zaangażowaniu Oleśnickiego w politykę krajową i międzynarodową Długosz zarówno uczestniczył w misjach zagranicznych biskupa, jak i samodzielnie je realizował: przed 1436 rokiem towarzyszył biskupowi w wyprawie do Florencji, do papieża Eugeniusza IV i na sobór powszechny w Bazylei w 1449 roku; w 1440 wyjechał na Węgry, gdzie uczestniczył w koronacji Władysława Jagiellończyka; w 1450 roku pielgrzymował także do Jerozolimy. W 1449 roku uzyskał dla Oleśnickiego u papieża Feliksa V kapelusz kardynalski (pierwszy



w historii Kościoła polskiego). W początkowej fazie wojny trzynastoletniej z polecenia Kazimierza Jagiellończyka prowadził pertraktacje z najemnikami krzyżackimi o przekazaniu stronie polsko-litewskiej Malborka i innych zamków, oraz z Węgrami.

DŁUGOSZ KONTRA JAGIEŁŁO

Długosz był wiernym i oddanym współpracownikiem Oleśnickiego, do śmierci kardynała twardo stał po jego stronie sporach z Władysławem Jagiełłą, a następnie Kazimierzem Jagiellończykiem. Niechęć do Jagiełły i ludzi z nim związanych Długosz wyraził także w Rocznikach. Długoszowską charakterystykę króla przeplata uznanie dla jego pobożności i szczodrości z potępieniem lekkomyślnej niedbałości o sprawy państwowe oraz przedkładaniem interesów Księstwa Litewskiego nad dobro Korony: Do zachowywania obrządków i powinności chrześcijańskich częstymi pobudzany przestrogi królowej Jadwigi, w święta Wielkiejnocy, Zesłania Ducha św., Wniebowzięcia N. Marii Panny i Narodzenia Pańskiego przystępował do świętych sakramentów pokuty i ołtarza. Ale po jej śmierci obyczaj ten ograniczył do samych świąt Narodzenia Pańskiego i Wielkiejnocy. [...] Corocznie w Wielki Piątek dwunastu ubogim w swoim pokoju, w obecności kilku tylko sekretarzy, nogi umywał, a potem każdemu z nich dawał po 12 groszy, tudzież sukno i płótno na przyodziewek. [...] Modlitwy gorliwie odprawiał i na klęczkach. W obietnicach i pos-

tanowieniach wierny i stateczny, sam zmieniać ich nie lubił i panom swoim odwoływać nie dopuszczał, chyba dla ważnej jakiej przyczyny i konieczności; a zawsze starał się przyprowadzić je do skutku. Sprawy ubogich, wdów i sierot, jeśli sam słuchać ich i załatwiać nie mógł, innym mężom uczciwym polecał do załatwienia. Miał też i swoje zabobony, których, jak twierdzili niektórzy, z słusznych trzymał się przyczyn, a które wpoila w jego umysł matka, niewiasta greckiego wyznania. Rzeczy pożyczone oddawał rzetelnie i z wdzięcznością. Bardziej rozrzutny niż hojny, wszystko, cokolwiek miał, a nawet królestwa swego obszerne posiadłości, rycerzom swoim porozdawał, niewiele zważając na zasługi tych, których obdarzał; i więcej daleko rozdarował, niżeli sobie zostawił. O utrzymanie zamków, miast i innych budowli nie bardzo był dbały i wiele ich za czasów tego króla podupadło. Litwę swoją ojczystą, rodzinę i braci tak dalece miłował, że gdy królestwa polskiego nie wahał się narażać na rozliczne wojny i klęski, wszystkie skarby i dochody królewskie rad poświęcał na obronę i zbogacenie Litwy. [...] Kościoły gnieźnieński, sandomierski i wiślicki, greckiej sztuki ozdobami (w tych bowiem bardziej smakował niż w łacińskich) przystroił. [...] Szlachty królestwa polskiego, ich żon i innych niewiast, przychodzących z darami choćby najmniejszymi, nigdy nie odprawiał bez pociechy i szczodrych podarków w suknie, soli lub szkarłacie. [...] Chciwy chwały i szacunku, rad ucha nadstawiał pochlebcom i oskarżycielom, a zwłaszcza tym, których przypuszczał do bliższej z sobą zażyłości. [...] Do miłostek, nie tylko dozwolonych, ale i zakazanych, pochopny. Tu zatrzymajmy się na chwilę gwoli wyjaśnienia. Otóż dwa ostatnie małżeństwa króla Władysława – kolejno z wojewodzianką sandomierską Elżbietą Granowską i księżniczką ruską Zofią (Sonką) Holszańską – okazały swego rodzaju skandalami. Długosz w nienajlepszym świetle przedstawił nie tylko wybranki serca podstarzałego króla, ale i nieliczącą z jego majestatem oraz pobożnością chutliwość. Według kronikarza reputacja obydwu niewiast pozostawiała wiele do życzenia – Granowska była trzykrotną wdówką, zaś Sonka miała być piękniejsza urodą niż obyczajami. Poślubienie ich przez Jagiełłę, po udanym małżeństwie z Anną Cylejską, było czystym zaspokojeniem rządzy. Ale prawda była inna: król do tej pory nie doczekał się męskiego potomka, następcy tronu. Dopiero Zofią Holszańską powiła mu oczekiwanych synów, przyszłych królów Polski – Władysława i Kazimierza.

Wróćmy do Długoszowej charakterystyki króla: Religii katolickiej pobożny i gorliwy wyznawca, dla ubogich, żebraków, wdów i wszelakiego rodzaju nieszczęśliwych, szczodrym był i dobroczynnym. Posty, wigilie i inne nabożeństwa tak żarliwie wypełniał, że więcej zwycięstw modlitwami swymi u Boga wyprosił, niżli orężem wywalczył. [...] W rozdawaniu łask i darów mało oględny.



W zabawach myśliwskich ani miary zachować, ani czasu oszczędzać umiał: stąd i dworzanom, którzy mu na łowach w czasie zimna lub upału po lasach i kniejach przez dzień cały, a niekiedy i w nocy dotrzymywali, hojnie sypał nagrody, aby ich zachęcić do cierpliwego trudów znoszenia. A tak dochody publiczne pochłaniali niewczesnie i niegodziwie dworacy, którzy nie w usługach kraju, ale w gonitwach za zwierzyzną prace swoje poświęcali. [...] Do próżnowania i rozkoszy, do zabaw myśliwskich i biesiad skłonny z przyrodoznawstwa, rzadko zajmował się ważnymi krajowymi sprawami, unikając tego starannie, aby mu kto spoczynku albo łowów, którymi ustawicznie lubił się zabawiać, nie przerywał. Podarunkami wielkimi nader hojnie szafował, nie ze względu na zasługę biorących, ale dla uniknięcia naprzykrzeń. Takie samo okazywali usposobienie i synowie jego, Władysław i Kazimierz, kiedy w Polsce sprawowali rząd.

W NIEŁASCE KRÓLEWSKIEJ

Po śmierci Władysława Jagiełły 1 czerwca 1434 roku w kraju rozgorzała walka o regencję nad małoletnim Władysławem, którego nie bez trudności za następcę uznały zwalczające się stronnictwa Oleśnickiego i Spytka z Melsztyna. Według Długosza Jagiełło na łożu śmierci przekazał swój

pierścień biskupowi krakowskiemu, którego uczynił opiekunem swoich synów. Istotnie Oleśnicki miał przemożny wpływ na Władysława, zarówno kiedy był on młodzieńcem, jak i od 1438 roku, kiedy objął rządy w Polsce.

Poglądy polityczne powiernika i protektora Długosza miarodajnie scharakteryzowała Ewa Maleczyńska, badaczka dziejów politycznych Polski u schyłku panowania Jagiełły: [Oleśnicki] tkwił na przekór kierunkowi rozwoju swojej epoki ideałami i pojęciami politycznymi całkowicie w schodzącym do grobu średniowieczu. Głęboka estyma dla porządku średniowiecznego, cześć dla kosmopolitycznej hierarchii i stojącego na jej czele imperatora rzymskiego narodu niemieckiego, a małe zrozumienie dla dążeń narodowych, cześć dla idei koncyliacyjnych, a gwałtowne i z głębokiego przekonania płynące przeciwstawienie się autokratyzmowi, czy tom papieskiemu, czy królewskiemu, oto zasadnicze rysy poglądu biskupa krakowskiego.

Długosz cały czas trwał przy Oleśnickim, w 1440 roku wyjechał ze swoim protektorem do Budy i Białogrodu Królewskiego, gdzie Władysław został korowany na władcę Węgier. Po śmierci króla w bitwie pod Warną (1444) w Polsce ponownie rozgorzała walka o następstwo tronu. Oleśnicki, zwolennik utrzymania unii Korony z Litwą, opowiadał się za bratem królewskim, wielkim księciem litewskim Kazimierzem, od którego zażądano potwierdzenia praw Królestwa. Jednak Kazimierz nie chciał tego zrobić i grał na zwłokę. Wobec tego Oleśnicki zaczął prowokacyjnie opowiadać się za innymi kandydatami do polskiej korony, m.in. Fryderykiem Brandenburskim. Rzecz jasna Długosz doświadczał skutków tego konfliktu.

Do jego zaostrenia doszło po śmierci Oleśnickiego w 1455 roku. Długosz zrezygnował z funkcji sekretarza biskupiego i związał się z Jakubem z Sienna, bratankiem Oleśnickiego, nieuznanym przez Kazimierza Jagiellończyka kandydatem na biskupa krakowskiego. W sporze o obsadzenie biskupstwa król odwołał się do Rzymu, a wszystkich stronników Jakuba, w tym Długosza, obłożył banicją i konfiskatą dóbr: W sobotę przed św. Tomaszem [19 grudnia] Kazimierz, król polski, wyruszywszy z Nowego Miasta Korczyna przybył w poniedziałek do Krakowa. Tu, w jego obecności i pod okiem królewskim, Stanisław i Dobiesław Kurozwęccy napadli gwałtownie na dom kanoniczny Jana Długosza i złupili go do szczeru. Wyniesiono o to skargę do króla Kazimierza, ale król – jak mówią – głuchym był na nią i odpowiedział tylko, że Jan Długosz na daleko większe zasłużył zelżywości i prześladowania nad te, które ponosił, za to, iż sprawę Jakuba Sienieńskiego, biskupa krakowskiego, słuszną i sprawiedliwą, gorliwie popierał – zapisał Długosz. Właśnie wtedy kronikarz zaczął



pisać dzieło swojego życia, czyli słynne Roczniki. Choć możliwe, że już wcześniej namawiał go do tego Oleśnicki.

PRECEPTOR KRÓLEWICZÓW

W latach 1461–1463 Długosz mieszkał w dobrach Melsztyńskich w Pińczowie i Melsztynie. Po rezygnacji z katedry biskupiej Jakuba z Sienna konflikt z królem wygasł. Zaczęły się też polepszać relacje Długosza z monarchą: już w 1462 roku przygotował traktat uzasadniający prawa króla Kazimierza do Mazowsza, a dwa lata później, kiedy dobiegała końca wojna trzynastoletnia, został członkiem komisji opracowującej memoriał, w którym dowodzono praw Polski do Pomorza. Długosz pomógł też królowi pozyskać ważnego sprzymierzeńca z wojnie z Krzyżakami, władcę Czech Jerzego z Podiebradu. Miał także duże zasługi w zawarciu pokoju toruńskiego w 1466 roku. Po wiekach historyk literatury Ignacy Chrzanowski lapidarnie skwitował Długoszowską drogę polityczną: Patriota zwyciężył religianta.

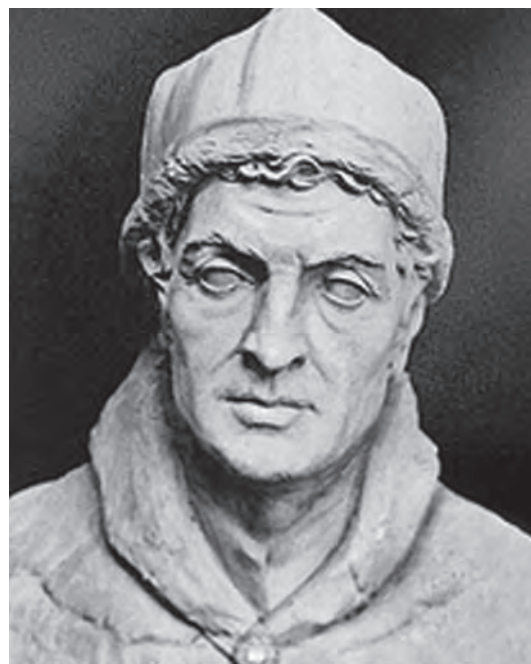
Kazimierz Jagiellończyk szybko docenił pracowitego i kompetentnego Długosza. W 1467 roku mianował go preceptorem („directorem et magistrum”) swoich synów: dwunastoletniego Władysława, dziewięcioletniego Kazimierza, ośmioletniego Jana Olbrachta i sześcioletniego Aleksandra. W następnych latach Długosz wychowywał i uczył jeszcze najmłodszych królewiczów Zygmunta (ur. 1467) i Fryderyka (ur. 1469). Wspominając okoliczności powierzeniu mu tej szaczonej i odpowiedzialnej funkcji pisał: we czwartek, dnia pierwszego października [1467 roku], Kazimierz król Polski, wyjechawszy z Krakowa, i poruczywszy Janowi Długoszowi starszemu, kanonikowi krakowskiemu, synów swoich dozór domowy i wychowanie, drogami ubocznymi, dla uniknięcia morowej zarazy, udał się wraz z królową Elż-

bietą na Litwę, i tam całą jesień, zimę i wiosnę przepędził. Synowie także królewscy, przed morowym powietrzem wydaleny do klasztoru tynieckiego, pozostali tam do dnia ś. Apolonii panny [9 lutego 1468 roku].

W nauce synów królewskich Długosza wspomagali: Filip Kallimach, włoski humanista i poeta, sekretarz króla Kazimierza, wykładowcy z Akademii Krakowskiej – Jan Wels, profesor medycyny, oraz Jan Boruchowski, doktor prawa kanonicznego – a także marszałek dworu i ochmistrz Stanisław Szydłowiecki. Edukacja młodzieńców trwała do ukończenia przez nich 16–18 lat. Długoszowi najwięcej radości sprawiał bogobojny i zdolny Kazimierz, który zapowiadał się na wybitnego władcę; najmniej przypała mu do gustu porywczy i ponad miarę ambitny Jan Olbracht.

Długoszowski program nauki królewiczów opierał się na zapewne zaadoptowanym i przerobionym przez Zbigniewa Oleśnickiego traktacie pedagogicznym Eneasza Sylwiusza Piccolominiego O wykształceniu księcia oraz dziele Węgejusza De rei militari. Królewscy synowie uczyli się m.in. łaciny (podstawą były prace gramatyczne Eliusza Donata, gramatyka i historyka literatury z połowy IV wieku), pisma, sztuki wymowy, a także historii i kultury klasycznej. Ponadto Długosz wpajał podopiecznym umiarkowanie i skromność. Nauka odbywała się zazwyczaj w miejscu, w którym przebywali królewicze. W tym kontekście ciekawe brzmi relacja posła weneckiego Ambrozio Contariniego, który w czasie podróży do Azji odwiedził w kwietniu 1474 roku przebywającą w Lublinie rodzinę królewską: przybyłem do ziemi, która zwie się lubelską. Jest ona dość uprawna, z pożądanym zamkiem, w którym bawili czterej synowie królewscy. Najstarszy mógł mieć około lat 15, i tak stopniowo coraz niżej o rok. I mieszkali tam na zamku z bardzo światłym nauczycielem, który ich wychowywał.

Królewicze byli pojętnymi uczniami. Już w 1469 roku Długosz wspominał, że podczas przyjazdu króla do Niepołomic w wigilię Trzech Króli Władysław powitał ojca bardzo piękną mową. W roku następnym podobny popis oratorski (w języku polskim) dał Kazimierz. Posłowie czescy podczas audjencji w Krakowie w 1470 roku zbudowali się wielce roztropnością i bystrym dowcipem najstarszego królewicza Władysława. W tym samym roku do Krakowa przybył nuncjusz papieski bp Aleksander, synowie królewscy powitali go tak pięknymi i wymownymi głosy, że nuncjusz dziwiąc się ich znakomitym zdolnościom rozczulony łzami się zalał i jawnie to powtarzał »że »nigdy jeszcze nie widział młodzieńców tak dobrze wychowanych i taką ukształconych nauką”. 16 czerwca 1471 roku królewicz Władysław przyjął w Krakowie posłów czeskich, którzy poinformowali go, iż został wybrany na tron czeski, opróżniony po zmarłym w marcu tego roku Jerzym z Podiebradu. Mowa elekta poruszała



do głębi: przemówił w języku polskim tak wymownie i pięknie, że wielu słuchających do łez poruszył.

SPUŚCIZNA

Staranność Długosza w wychowywaniu i nauce królewiczów docenił król, który nadał mu arcybiskupstwo lwowskie (papież potwierdził tę decyzję krótko po śmierci Długosza). Długosz, dzięki wielu dochodowym beneficjom, hojnie łożył nie tylko na kościół, ale także na Akademię Krakowską: dokończył Bursę Jerozolimską i wybudował Bursę Węgierską przy ul. Brackiej oraz urządził domy studentów prawa przy ul. Grodzkiej.

Jan Długosz pozostawił pokaźną spuściznę pisarską; oprócz wspomnianych Roczników, które pisał w oparciu o m.in. dokumenty z kancelarii kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, są to (w porządku chronologicznym): Banderia Prutenorum (opis 56 chorągwi krzyżackich, głównie trofeów spod Grunwaldu z wizerunkami autorstwa Stanisława Durinka), żywot św. Stanisława oraz św. Kunegundy, katalogi biskupów polskich, Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis (trzyczęściowy opis stanu posiadania kapituły katedralnej, kapituł kolegiackich oraz kościołów katedralnych i klasztorów z nie mniej cennymi informacjami historycznymi) czy Choro-graphia Regni Poloniae (geograficzny opis Polski). Zmarł 19 maja 1480 roku w Krakowie

Tomasz Bohun, historyk, redaktor Magazynu Historycznego „Mówią wieki”

Andrzej Brochocki

COLUMBA LIVIA I JA

codziennie świt południe zmierzch
niezmiennie gołąb na balkonie
w postoju przed swym dalszym lotem
na strojne ramię padyszacha
lub do haremu chętnych papug
- mędrzec widokiem mym zdziwiony
jak lata temu wczoraj dzisiaj
że mnie spotyka wciąż w swej drodze
że tkwię dla niego jak drogowskaz
między Andami i Tybetem
i myśli zanim dalej ruszy
- który z nas kiedyś zniknie pierwszy
chyba że będzie trwać to wiecznie
para gołębi zawieszona
pośród passatów halnych wiatrów
duchów i zło wróżących komet
z dala od ziemi z dala nieba

sierpień 2023 r.

Jerzy Górnicki

ŚWIĘTE KROWY

Przechadzają się ulicami
Delhi, Bombaju i Kalkuty.
Wszyscy ustępują im z drogi,
nawet auta nie trąbią,
szanuje się milczącą świętość.
Święte krowy u nas są gadatliwe,

mówią do mikrofonów,
piszą do gazet, każą się oglądać,
chowają prawdziwą twarz
za pudrem i botoksem.
Codziennie zmieniają buty,
tak jakby były oblepione błotem.
Wszyscy im ustępują z drogi,
by nie zostać wdeptanym w ziemię,
czasami tak głęboko,
że nie można się z niej wydostać.

Warszawa, listopad 2015

Krzysztof Rudziński

Z CREMONY

Zdzisławowi Łączkowskiemu

– Sonety.- Ich pisanie, jak stwarzanie skrzypiec,
Powołanie szlachetne, połów lotnych istnień,
Fantazja, intuicja, rękodzieła wszystkie,
Ryzyko porażenia jak w upalny lipiec.

Nie byłyby poezją, lipcem nie był lipiec.
Nie byłaby Cremona oaza padańska.
Świetlik nie kochał lata, nocą świętojańską,
Nie hazardem – ich brzmienie, tak jak – nowych
skrzypiec.

Gdybym na tej równinie, w żartach bałamućnych,
Nie zgubił gdzieś przepisu (w lombardzkich oparach,
Na sonet, niby skrzypce, winowajca smutny),

Który mi powierzała, jak legendę starą.
– Mówią, że ją odnalazł pewien młody lutnik
I ucieleśnił w skrzypcach. Zwał się Stradivari

Wiesław Janusz Mikułski

w rozwalonym domu
nikt nie mieszka
tynki niszczy czas
przez okna wdziera się deszcz

portrety na ścianach
pokryte są wilgocią
przez sufit przebija deszcz
z otwartego nieba

z rozwalonego domu
czas wymiata
stare zapiski słów
jak pożółkłe liście

drzwi skrzypiące
w oparach mgły
straszą szarpane
nocnym wiatrem ...



Szlachta polska

Sławomir Maszewski

Dzisiaj w mediach społecznościowych często pojawiają się informacje o możliwości odnalezienia szlacheckich przodków i jak mniemam takie strony znajdują wielu obserwujących. Świadczy to o wciąż trwającej modzie na poszukiwanie swoich korzeni. Ale jest też kontynuacją procesu trwającego od końca XIX wieku, polegającego na identyfikacji z tradycją szlachecką, choćby przez przyjmowanie nazwisk z końcówkami na -ski, -cki lub -icz. Nie przypadkiem przecież, młodzi legioniści brygadiera Piłsudskiego idąc w bój, aby wywalczyć Niepodległą, za pseudonimy obierali sobie nazwy szlacheckich herbów, które potem często łączyli z nazwiskami na stałe. Co w tej tradycji było tak urokliwego, że odzywa się ona echem po dzień dzisiejszy. Aby móc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba pokazać kim była ta klasa społeczna i jaka była jej pozycja w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Słowo *szlachta* przyjęło się w Polsce za pośrednictwem czeskiego słowa *šlechta*, a to z kolei pochodzi od niemieckiego rzeczownika *Geschlecht*, oznaczającego – ród. O ile warstwa ta na zachodzie Europy powstała w wyniku kryzysu rycerstwa w XV i XVI wieku, który wiązał się z zastępowaniem tej grupy zawodowymi armiami, to na

ziemiach polskich ma znacznie starszy rodowód. Już u schyłku panowania pierwszych Piastów utrzymywanie kilkudziesięciu drużyn wojowników stało się niemożliwe ze względów finansowych. W państwie patrymonialnym pojawił się zwyczaj wynagradzania ziemią tych, którzy na wypadek wojny mieli obowiązek stawiać się zbrojnie na wezwanie władcy. Tak rodziło się pospolite ruszenie skupiające się w ziemskich chorągwiach terytorialnych. Znany nam z „Krzyżaków” Zbyszko z Bogdańca wraz ze swoim stryjem bili się pod Grunwaldem w chorągwi ziemi sieradzkiej. Tam bowiem leżał ich Bogdaniec.

W XVI stuleciu na tle innych krajów europejskich Rzeczpospolitą wyróżniała liczebność stanu szlacheckiego. Szlachta stanowiła bowiem ok. 500 tysięcy osób, czyli 8% populacji, a po 1569 roku, po ostatecznym połączeniu Litwy z Koroną, osiągnęła nawet 10%. W tym czasie w Anglii średnia ta wynosiła ok. 2%, a we Francji nieco ponad 1%. Jedynie Hiszpanię można było w tej materii porównać z Rzeczpospolitą, bo i tam liczebność stanu szlacheckiego sięgnęła 10%. Był to efekt, trwającej niemal przez

całe średniowiecze, rekonkwisty, czyli odzyskiwania z rąk Arabów Półwyspu Iberyjskiego. Trwające tak długo wojny wymagały ludu rycerskiego. Tyle, że pod względem zamożności tej klasy różnica była znaczna. W Hiszpanii arystokracja i bogata szlachta posiadająca ziemię stanowiły 1% tej grupy, a ubodzy hidalgos, w większości nieposesjonaci, aż 9%. W Europie żartowano, że hidalgo spożywa na obiad jedną oliwkę, a na kolację żywi się muzyką gitary. Podczas, kiedy w Rzeczypospolitej magnateria, bogata i średnio zamożna szlachta to ok. 4% tej grupy, a uboga szlachta i nieposesjonaci - 6%.

Jest rzeczą oczywistą, że na 10% średnią stanu szlacheckiego w Rzeczypospolitej składał się nierównomierny jej rozkład w poszczególnych częściach kraju. Charakterystyczną cechą tego rozkładu jest wysoki procent szlachty na Mazowszu (23,4%) i na Żmudzi (ok.20%). Podczas, gdy w innych prowincjach naszego kraju stanowił on od 4,6 do 5,6% populacji. Stan ten był wywołany najprawdopodobniej przenikaniem do stanu szlacheckiego tzw. włódyków lub ścieraków w okresie przed scaleniem Mazowsza z Koroną (1526) oraz długoletni konflikt z Zakonem Krzyżackim. Tak na Mazowszu, jak i na Żmudzi granica była miejscem nieustannych walk, co wymagało coraz większej liczby zbrojnych. Włódcy byli warstwą pośrednią pomiędzy szlachtą, a plebejami i służyli u boku rycerzy, jako giermkowie. Takie masowe przenikanie do stanu szlacheckiego wywołało widoczny skutek w postaci wielkiej liczby ubogiej szlachty w tych częściach kraju.

Do stanu szlacheckiego często przedostawali się także bogaci mieszczaństwo, którzy z czasem dochodzili nawet do rangi magnatów. W XIV wieku w szeregi szlachty przeniknęli: Melsztyńscy, Jordanowie, Chełmscy i Wierzyńkowie. Natomiast w wiekach XV-XVI awansowali do tego stanu: Salomonowie, Boenerowie, Firlejowie, Morsztynowie, Szembekowie, Mazaraki, Scypionowie i Wodzcicy.

Ułatwieniem dla tego procederu był środek prawny zwany naganą szlachectwa (łac. vituperatio nobilitas). W teorii miał on chronić stan szlachecki, domagając się od podejrzanego wywiedzenia (dowiedzenia) swego pochodzenia. Jeśli nagoniony nie mógł go udowodnić, groziła mu utrata połowy posiadanego majątku. W praktyce jednak było inaczej. Brak lub ograniczony dostęp do dokumentów, spowodował odwołanie się do świadków. Aby dowieść szlacheckiego pochodzenia należało postawić przed sądem trzy pary świadków: po dwóch ze strony ojca, matki i babki ojczystej. Wystarczyło tylko znaleźć i przekupić odpowiednich świadków i sąd zmuszony był wydać dokument oddalający naganę szlachectwa, co ipso facto równało się jego potwierdzeniu. I tak mnożyła się liczba herbowych.

Nic więc dziwnego, że szlachta tworzyła bariery w dostępie do swego stanu. Oficjalnie szlachcicem można było zos-



Szlachta 1228–1333

tać tylko przez urodzenie z herbowego ojca i matki. Wyjątkiem od tej reguły była nobilitacja, czyli nadanie szlachectwa przez monarchę najczęściej za zasługi wojenne oraz nadanie indygenatu cudzoziemcowi, co oznaczało dopuszczenie go do polskiego herbu. Z tym, że od roku 1578 nobilitacji mógł dokonać król tylko na sejmie, bądź na wojnie w obecności pospolitego ruszenia, a w roku 1641 uchwalono, że indygenatu może udzielać tylko sejm.

Podkreśleniu odrębności klasowej służyły też legendy o pochodzeniu szlachty od Sarmatów, starożytnego ludu żyjącego od III wieku p.n.e. na stepach między Donem a Morzem Czarnym. Mit ten przyczynił się do rozwoju specyficznej ideologii zwanej sarmatyzmem, która podkreślała odrębność od innych stanów społeczeństwa, umiłowanie wolności przejawiające się w dążeniu do ograniczania władzy królewskiej, przywiązanie do ideału szlachcica-rycerza, odznaczającego się honorem i walecznością oraz szlachcica ziemianina – dobrego gospodarza. Pojęcie sarmatyzm przeszło nawet do języka powszechnego i używane było w formie przymiotnikowej. Sarmacki mróz oznaczało - silny, sarmacki las – rozległy itd. Ale co ciekawe pojęcie to było też utożsamiane z polskością. O Koperniku na przykład pisano: „Ptolemeusz sarmacki”. W XVII wieku sarmackość zaczęto utożsamiać z katolicyzmem, co zaowocowało pojawieniem się stereotypu: „Polonia antemuralis christianitas” (Polska przedmurzem chrześcijaństwa). Wobec licznych w tym stuleciu wojen z innowiercami nie wydaje się to niczym dziwnym.

Warto wiedzieć...

Bywały też i inne próby podkreślania szlacheckiej odrębności. Swe pochodzenie wywodziła też szlachta od Jafeta, syna Noego, podczas gdy kolejny syn Cham miał być przodkiem chłopów. Stąd też określenie „cham” nie było pierwotnie tak pejoratywnym synonimem braku kultury, a raczej świadectwem prostego pochodzenia.

O pozycji szlachcica najczęściej decydowała zamożność i wielkość dóbr ziemskich. Dlatego też społeczność ta była głęboko uwarstwiona. Poniższa tabela ukazuje te podziały.

STRUKTURA STANU SZLACHECKIEGO	
Magnateria	posiadacze rozległych dóbr ziemskich (dziedzicznych i dzierżawnych), sprawujący urzędy centralne i dygnitarstwa
Szlachta średnia	posiadacze 2 lub 3 folwarków (min. 20 łanów, czyli 300-400 ha), piastujący officia (niższe urzędy ziemskie)
Szlachta kolokacyjna (częstkowa)	posiadali część majątku z powodu sprzedaży lub dzierżawy. Sąsiedzi wspólnie korzystali z wyposażenia folwarku i pracy chłopów pańszczyźnianych
Szlachta czynszowa	dzierżawili ziemię od zamożniejszych współbraci
Szlachta zagonowa	dysponowała niewielką ilością ziemi, nie miała chłopów pańszczyźnianych i własnoręcznie uprawiała ziemię
Szlachta zaściankowa	mieszkała jak chłopci na wsi, separując się od innych gospodarzy, z pokolenia na pokolenie dziedziczyła wspólnie część wsi lub żyła na kolonii szlacheckiej
Szlachta gołota (holota)	nie miała ziemi ani chłopów, zarabiała na życie jako dzierżawcy, żołnierze w wojskach Rzeczypospolitej lub prywatnych pocztach magnackich; czasami pełniła funkcję rękodajnych na dworach magnackich (zaufanych służących)
Szlachta brukowa	nie miała ziemi, żyła w miastach i miasteczkach chwytając się tam różnych zajęć
Szlachta hultaje	brak identyfikacji, być może jest to kategoria szlachty żyjącej poza prawem

Dziedziców na części wsi nazywano szlachtą szaraczkową, zagrodowcami, szlachtą gniazdową lub chodaczkową, a średnią szlachtę karmazynami, od barw ich kontuszy. Wśród tego zróżnicowania trzeba było niemałego doświadczenia, żeby wiedzieć do kogo można się zwrócić per „acan”, a do kogo „wielmożny” lub „jaśnie oświecony”.

Stopień zamożności polskiej szlachty był szalenie zróżnicowany, ale też możliwości awansu olbrzymie. Król był właścicielem 1/6 ziemi uprawnej w Rzeczypospolitej. Dobra te nosiły nazwę królewszczyzn. Budując obóz regalistyczny, monarchowie często nadawali królewszczyzn w dzierżawę, co budowało potęgę materialną niektórych rodów. Przykładem najszybszej kariery magnackiej były losy Jana Zamoyskiego, twórcy Zamościa, który w 1572 roku odziedziczył po ojcu 4 wsie, a umierając w 1605 roku pozostawił po sobie 811 wsi i 23 miasta, w tym dzierżawy królewszczyzn stanowiły 612 wsi i 12 miast. Natomiast wojewoda ruski Stanisław Lubomirski w 1613 roku odziedziczył po ojcu 80 wsi, zamek



Stroje polskich magnatów, XVI wiek

w Wiśniczu i kilka kamienic w Krakowie, a w 1642 roku był już właścicielem 296 wsi, 10 zamków obronnych i 12 miast i miasteczek. A i średnia szlachta potrafiła gromadzić niemałe majątki. Inwentarz kasztelana lwowskiego Rafała Grabowskiego wymienia srebra o wartości porównywalnej z majątkiem rodu florenckich Medyceuszów, o łącznej

wadze 450 funtów. Inny szlachcic Karol Fredro posiadał rząd koński husarski, w którego skład wchodziły łęki zdobione 133 rubinami, 12 szmaragdami oraz czaprak udekorowany 125 rubinami i 135 szmaragdami. Równie bogato zdobione były uzda i strzemiona. Warto też wspomnieć, że kaftan króla Zygmunta III Wazy był wart 100 tys. złotych (równowartość 400 kg srebra), podczas gdy zamek i miasto Podhajce wraz z 20 wsiami były warte zaledwie 70 tys. złotych.

Potężna polska szlachta potrafiła wywalczyć sobie liczne prawa i swobody. W ciągu ponad 130 lat między XIV a XVI wiekiem kilkudziesięciu przywilejów i konstytucjach sejmowych uzyskiwała wolności osobiste, polityczne i gospodarcze. Do najważniejszych praw osobistych należały: wolność osobista i swoboda wyznania, nietykalność osobista bez wyroku sądowego (przywilej jedlnieński-krakowski 1430-1433), nietykalność majątkowa bez wyroku sądowego (przywilej czerwiński 1422) i swobodne dziedziczenie ziemi, nawet w linii żeńskiej (statut warcki 1423). Główną rolę odgrywały jednak prawa polityczne: równość wobec prawa bez względu na majątek - „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”, prawo do elekcji monarchy, bowiem jak komentowała szlachta - „każdy szlachcic króla obiera, każdy królem obran być może”, prawo wpływania na politykę państwa przez Sejm, sejmiki i liberum veto oraz prawo wypowiedzenia posłuszeństwa królowi - „articulus de non praestenda oboedientia”. Do tego dodać należy także prawa ekonomiczne, wśród których najważniejsze to: wyłączne prawo posiadania ziemi, zwolnienie majątku szlacheckiego z opłaty podatku państwowego zwanego poradnym (przywilej koszycki z 1374) oraz liczne ulgi podatkowe i celne.

Jednak żadne prawa nie powinny przesłaniać obowiązków. A te stały się wzorem dla przyszłych pokoleń: wierność Rzeczypospolitej, wierność monarsze, o ile przestrzega praw szlacheckich i obowiązek uczestniczenia w pospolitym ruszeniu. Na długo przed rewolucyjnymi ideami politycznymi Oświecenia w Rzeczypospolitej uznano, że legalną jest władza wybierana przez obywateli szlacheckich i należy się jej podporządkować, o ile przestrzega praw oraz że chlubą jest obrona Ojczyzny. Może warto w tym miejscu zdobyć się na odrobinę refleksji zadając sobie pytania - w którym kraju europejskim 1/10 populacji miała tak rozległe prawa polityczne i była gotowa ich bronić? Czy bez tej tradycji, bez wywalczonych praw, potomkowie tej oskarżanej o warcholstwo i anarchię szlachty, byłoby w stanie tyle razy podrywać się do walki o Niepodległą, kiedy Rzeczypospolitej zabrakło na mapach Europy?

Co pozostało po tej potężnej klasie społecznej? Trochę dworów szlacheckich i pałaców magnackich, barwne kontusze i żupany oraz krzywe karabele w muzeach i drzewa genealogiczne w niektórych domach. Moim zdaniem najważniejszą spuścizną są wartości, a wśród nich ta najisto-



Rembrandt, Szlachcic polski, 1637

tniejsza wyrażająca się słowami: „Verbum nobile debet esse stabile” (Słowo szlacheckie powinno być dotrzymane). A dzisiaj dewiza ta winna dotyczyć nie tylko szlachty, ale wszystkich.



Sarmaci w zbrojach luskowych, zwanych karaceni



Fot. Jolanta Mesjasz-Przybyłowicz

Władysław Stanisław Reymont

100. rocznica śmierci

Był jednym z siedmiorga dzieci wiejskiego organisty, stosunkowo zamożnego i mającego ambicje zapewnienia swoim dzieciom wykształcenia. Z Władysławem Stanisławem szło mu najgorzej: przyszły noblista nie chciał się kształcić ani uczyć gry na organach. Dzieciństwo spędził w Tuszynie, gdzie rodzina przeniosła się, kiedy miał rok. Aby dać mu fach do ręki, ojciec wysłał go do Warszawy, do zakładu krawieckiego. Tam w 1883 roku ukończył Warszawską Szkołę Niedzielną-Robotniczą. Dla uzyskania miana czeladnika przedstawił komisji uszyty przez siebie frak, który podobno „nieźle leżał”. Jako osiemnastolatek przyłączył się do wędrownego trupy aktorskiej. Rodzina wyrobiła mu pracę niższego funkcjonariusza na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Nudził się na małych stacyjkach w Rogowie, Krosnowej, Lipcach. Powtórnie spróbował kariery aktorskiej. W 1890 roku związał się z adeptem wiedzy tajemnej, niejakim Puszowem, i wyjechał z nim do Niemiec szerzyć spirytyzm. Próbował odbyć nowicjat w klasztorze na Jasnej Górze. Znowu wylądował na stacji kolejowej.

Pod koniec 1894 roku przeniósł się do Warszawy i postanowił żyć z pióra. Kiedy jego sytuacja materialna znacznie się poprawiła, dużo podróżował. W latach 90. XIX wieku odwiedził Londyn, Berlin, Włochy i Paryż. W Paryżu zawarł cenne znajomości literackie, m.in. ze Stanisławem Przybyszewskim, Stefanem Żeromskim czy Zenonem Przesmyckim. Poznał także przyszłego znakomitego tłumacza „Chłopów” – Franka-Luisa Schoella.

W 1900 roku uległ poważnemu wypadkowi kolejowemu. Otrzymał za to duże odszkodowanie. Kontuzję leczył w Krakowie. Opiekowała się nim znajoma, Aurelia Szablowska. Opiekunka rozwiodła się z dotychczasowym mężem, wyszła za pisarza i wprowadziła porządek w jego niespokojne życie. Razem dużo podróżowali. Rewolucję 1905 roku i I wojnę światową przeżyli w Warszawie.

Reymont angażował się w działalność społeczną. Był prezesem Związku Pisarzy i Dziennikarzy, potem prezesem Warszawskiej Kasy Przewidywania i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy. Uczestniczył także w zakładaniu pierwszej spółdzielni kinematograficznej. Po wojnie (w latach



1919-20) wyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych, gdzie w środowisku polonijnym szukał pomocy gospodarczej dla odbudowy zrujnowanego kraju. W 1920 roku kupił majątek Kołaczkowo, ale gospodarowanie szło mu kiepsko, tym bardziej, że zły stan zdrowia zmuszał go do przebywania głównie na Riwierze. Zmarł 5 grudnia 1925 roku w Warszawie. Pochowany został na Cmentarzu Powązkowskim, a jego serce – w Kościele Św. Krzyża.

Zaczął pisać jako urzędnik kolejowy, żeby wypełnić czymś pustkę jałowego życia. Początkowo wiersze i zapiski z codzienności, później opowiadania i nowele. Te ambicje literackie otoczenie traktowało z szyderstwem. W 1892 roku wysłał na ręce Ignacego Matuszewskiego do warszawskiego Głosu nowelę „Śmierć” i trochę korespondencji – i ku, swojemu zdumieniu, zadebiutował. Kilka następnych nowel przyjęła krakowska „Myśl”. To dodało mu odwagi, żeby bez grosza przenieść się do Warszawy i zająć wyłącznie pisaniem. Napisał i opublikował kilkanaście nowel, które później zostały zebrane w tomach „Spotkanie” (1897), „Sprawiedliwość” (1899), „W jesienną noc” (1900), „Krosnowa i świat” (1928).

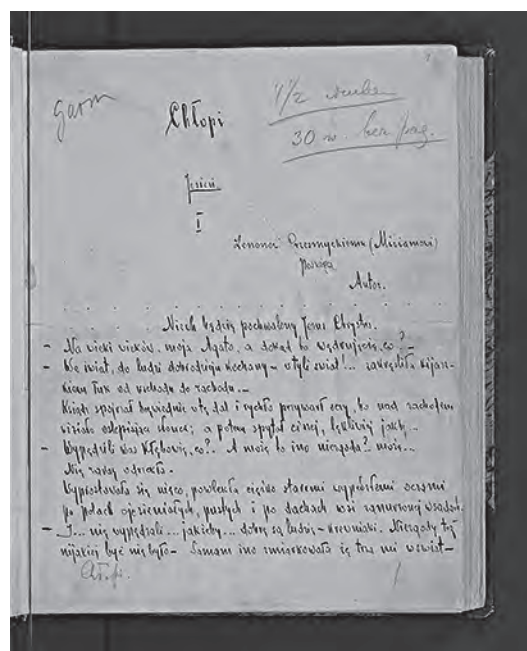
Przełomem w jego karierze literackiej stał się reportaż “Pielgrzymka na Jasną Górę”. W setną rocznicę Insurekcji do Częstochowy ciągnęły pielgrzymki rozmodlonego ludu. Jako korespondent Tygodnika Ilustrowanego Reymont wtopił się w tłum, przebył całą drogę i stworzył obraz ulotnej społeczności połączonej przeżyciem religijnym, składającej się z różnorodnych barwnych postaci indywidualnych.

W czasie następnych 10 lat Reymont napisał cztery duże powieści, które na stałe weszły do historii literatury. Potem jego talent – może wskutek choroby – wyraźnie osłabł. Swoje powieści Reymont pisał w odcinkach i publikował w prasie. Tworzył z tygodnia na tydzień, niewiele zmieniając w wersjach książkowych.

Pierwsza powieść, “Komediantka”, pojawiła się na łamach Kuriera Codziennego w 1895 roku. Wydanie książkowe opublikowane zostało rok później. Jej bohaterką jest Janka Orłowska, córka naczelnika stacji w małym miasteczku. Przygnieciona monotonią i miałością życia ucieka do Warszawy, aby spróbować kariery aktorskiej. Przedstawiając świat aktorów Reymont wykorzystał własne doświadczenia: pokazał ubóstwo i szarość trup objazdowych, małość i intrygi, przelotne romanse. Bohaterka, kobieta piękna, ale zbyt mało utalentowana, żeby się wybić, grzęźnie w tej rzeczywistości, która miała być ucieczką. Po niepowodzeniach artystycznych i nieudanym romansie próbuje popełnić samobójstwo.

W realistycznym obrazie losu aktorów Reymont podjął dwa tematy ważne dla okresu Młodej Polski. Pierwszy – konflikt artysty z fildrem – rozgrywa się między aktorami, posiadającymi pewne ambicje, a mieszczańską publicznością, ale także w duszach artystów, których aspiracje zostają zniszczone przez codzienność. Drugi – to dążenie silnej kobiety do wyzwolenia z pętających ją rygorów rodzinnych i społecznych, potrzeba wolności i samorealizacji.

Kontynuacją “Komediantki” była powieść “Fermenty”, publikowana w Bibliotece Warszawskiej w roku 1896 (wydanie książkowe ukazało się drukiem w 1897 roku). Janka Orłowska po nieudanej próbie samobójczej wraca do domu ojca, do przynębiającej nudy prowincjonalnego życia. Po jakimś czasie, motywowana trudną sytuacją finansową, wychodzi za mąż. Zwleka z konsumpcją małżeństwa, ale w końcu decyduje się na wypełnienie swoich obowiązków i urodzenie dziecka. Reymont stworzył tu interesujący portret kobiety, która mimo przegranej nie daje się sprowadzić do poziomu otoczenia i z godnością przyjmuje swój los. Taka koncepcja losu, który nazwał jarzmem, była wersją młodopolskiego fatum, ulubionej kategorii m.in. Stanisława Przybyszewskiego. Z kolei z młodopolską fascynacją stanami patologicznymi



Rękopis “Chłopów”

mi koresponduje studium rozwoju choroby psychicznej ojca bohaterki.

W 1896 Reymont podpisał umowę na nową powieść i wyjechał do Łodzi. W efekcie powstała “Ziemia obiecana”, publikowana w latach 1897-98 na łamach Kuriera Warszawskiego, wydana w formie książkowej w 1899 roku. Stworzył w niej przejmujący obraz rozwijającej się młodej kapitalistycznej metropolii – obraz okrutny i demoniczny. Fabuła osnuta jest wokół losów trzech przyjaciół: Karola Borowieckiego, Moryca Welta i Maksa Bauma (byli trzech różnych narodowości – odpowiednio polskiej, żydowskiej i niemieckiej – co miało w zamysle autora odzwierciedlać strukturę narodowościową łódzkich kapitalistów). Reymont narysował szeroki realistyczny obraz miasta: fabryki i kantory, restauracje i dworce kolejowe, parki i ulice, pałace bogaczy i rudery robotników... Kapitalistyczne miasto jest w powieści molochem, dziką metropolią tętniącą życiem i namietnościami, w której dominują żądza bogactwa, bezwzględność i okrucieństwo. W walce o pieniądze dozwolone są wszelkie chwyt: nieuczciwość, zdrada, kradzież, podpalenie, pozorowane bankructwo. W zderzeniu z tym światem przegrywają zasady moralne, poczucie lojalności i dobre intencje. Antyutopii fabrycznego miasta przeciwstawił Reymont utopię sielankowego wiejskiego

dworu kierującego się tradycją i trwałymi zasadami. Ekspresyjną obrazowość powieści uzyskał dzięki użyciu specyficznego języka, pełnego metafor i licznych przymiotników mocnych, opisów lirycznych i drastycznych. Dla dzisiejszego czytelnika powieść wciąż jest dość nowoczesna, frapująca w warstwie fabularnej, obyczajowej i społecznej.

W latach 1892-99 Reymont pracował nad swoją najsławniejszą powieścią – „Chłopami”. Publikowana była w odcinkach w Tygodniku Ilustrowanym w latach 1902-1906, wydana osobno została w czterech tomach – tom I i II w roku w 1904 roku, tom III – w 1906 roku, tom IV – w 1909 roku. Stworzył w niej bogaty obraz łowickiej wsi: ludzi i przyrody. O ile w „Ziemi obiecanej” rzeczywistym bohaterem byli fabrykanci jako grupa społeczna pozbawiona wewnętrznych więzów, to w „Chłopach” bohaterem jest gromada, zespolona wspólną pracą i wspólnym losem. Jak zwykle w powieściach Reymonta gromada składa się z niepozbawionych cech indywidualnych typowych przedstawicieli społeczności: jest dziedzic, ksiądz, organista, młynarz, bogaci gospodarze, wyrobnicy i żebracy...

Fabula koncentruje się wokół rodziny Borynów: zamożnego gospodarza Macieja, jego młodej żony Jagny i syna Antka, połączonych z macochą namiętym romansem. Powieść zaczyna się sceną hucznego wesela Boryny, kończy jego pogrzebem, wpisując ludzkie losy w odwieczne koło narodzin, przemijania i śmierci. Rytm ludzkiego życia podporządkowany jest rytmowi przyrody, która narzuca kolejność pracy i odpoczynku. Z rytmem przyrody związany jest porządek liturgiczny – święta kościelne i obrzędy ludowe – który przenosi życie ludzi i przyrody w wymiar kosmiczno-sakralny. Krytycy byli zgodni, że malując bogaty obraz życia, pracy i obyczajów wsi Reymont stworzył jednocześnie wybitną powieść realistyczną, epopeję chłopską i ponadczasowy mit życia człowieka i natury. Specyficzny jest język powieści: w dialogach używana jest gwara – nie kopia jakiegś istniejącej, lecz stworzona przez Reymonta stylizacja. W licznych i długich opisach przyrody dominuje język liryczny o wyraźnej manierze młodopolskiej.

Za „Chłopów” Reymont otrzymał nagrodę Polskiej Akademii Umiejętności (1917) oraz nagrodę Nobla (1924). Zwyciężył w godnym towarzystwie: konkurentami byli Tomasz Mann, Maksym Gorki i Thomas Hardy. Polska opinia publiczna uważała, że Nobla powinien dostać Stefan Żeromski. Być może na nominację wpłynęły zakulisowe działania Narodowej Demokracji, która Żeromskiego uważała za pisarza lewicowego.

W latach 1913-18 Reymont pracował nad wielką trylogią historyczną, jedynym ważnym utworem opartym



Jacek Malczewski - Portret Władysława Reymonta

na źródłach. Trylogia miała tytuł „Rok 1794” („Ostatni sejm Rzeczypospolitej”, 1913, „Nil desperandum”, 1916, „Insurekcja”, 1918). Jest rodzajem wielkiego zbeletryzowanego reportażu historycznego okresu powstania kościuszkowskiego i analizą przyczyn jego klęski.

Reymont napisał jeszcze wiele mniej znanych i mniej ważnych utworów, m.in. związanych z rewolucją 1905 roku („Zabiłem”, „Czekam”, „Na krawędzi”, „Z konstytucyjnych dni”), pobytem w Bretanii („Burza”, „Powrót”, „Tęsknota”), fascynacją okultyzmem („Dziwna opowieść”, „Wampir”), obroną unitów prześladowanych przez władzę carską („Z ziemi chełmskiej”), doświadczeniem okrucieństwa I wojny światowej („Dola”, „Za frontem”) czy pobytem wśród Polonii amerykańskiej. W historii literatury zapisał się jednak głównie jako autor „Ziemi obiecanej” i „Chłopów”.

Mimo pewnych powiązań z poetyką młodopolską (głównie w warstwie języka), pisarstwo Reymonta bazuje przede wszystkim na realistycznym obrazowaniu. Można by zarzucić mu brak dostatecznej głębi, ale pozostaje rozmach, barwność i bogactwo szczegółów. Dzięki temu jego powieści stanowiły doskonały materiał filmowy.

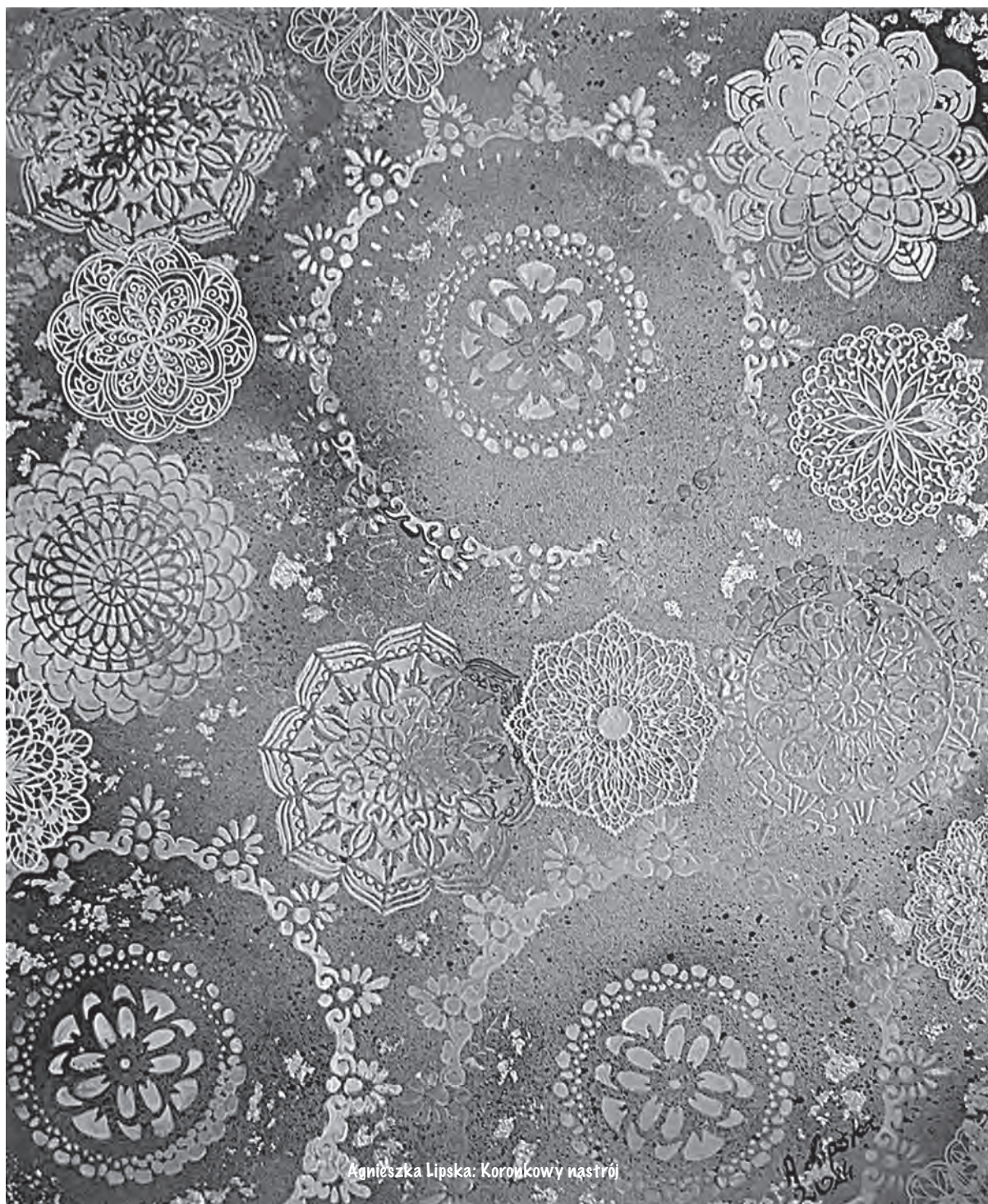
„Ziemię obiecanej” przeniósł na ekran Aleksander Hertz (1927, wraz ze Zbigniewem Gniazdowskim), a pół wieku później swoją ekranizację nakręcił Andrzej Wajda (1974; film otrzymał nominację do Oscara i Grand Prix w Moskwie, a niezapomniane role stworzyli m.in. Wojciech Pszoniak, Daniel Olbrychski i Kalina Jędrusik). „Chłopów” wyreżyserował w 1922 roku Eugeniusz Modzelewski, z kolei Jan Rybkowski na podstawie tej powieści nakręcił serial telewizyjny

w 1973 roku (13 odcinków), który następnie przerobił na film pełnometrażowy. W 1986 roku Jerzy Sztwiertnia nakręcił serial według "Komediantki" (9 odcinków).

Utwory Reymonta tłumaczone były na kilkanaście języków. W jego dawnym majątku w Kołaczku znajduje się obecnie Muzeum Reymontowskie.

Halina Floryńska-Lalewicz, culture.pl

Galeria



Agnieszka Lipska: Koronkowy nastrój

Autopsja nierzeczywistego nieboszczyka

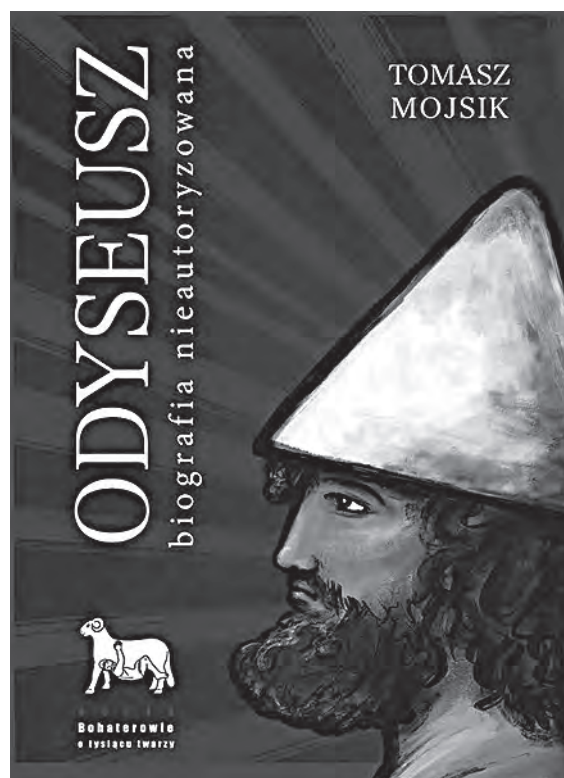
Maciej Pinkwart

Czy można napisać biografię kogoś nieistniejącego? Ależ oczywiście, nie tylko można, ale wręcz robi się to nagminnie: w końcu, większość publikowanych ostatnio biografii to prezentacje spraw życia i działalności osób, które od dawna nie żyją, a więc z dzisiejszego punktu widzenia nie istnieją. A biografie żyjących idoli: polityków, artystów estrady, sceny i ekranu, papieży i hierarchów kościelnych też mają się w większości wypadków do rzeczywistości tak, jak narracja działaczy niegdysiejszej opozycji do narracji większości rządzącej, jak opowieść z jesieni 2023 do opowieści z lata 2025.

Twórczość, a zwłaszcza sztuki piękne i literatura jeśli są odpowiednio sugestywne, mogą stworzyć sytuacje i postacie nieistniejące, ale żyjące w naszych sercach i umysłach tak mocno, że możemy je kochać i nienawidzić tak jak sąsiada, który głosował tak jak my lub tak jak oni, mogą być przedmiotem kultu i bezkrytycznego uwielbienia, mogą nawet stać się mitem założycielskim wielkiej czy mniejszej religii. Żeby się zbytnio nie narażać – podam za przykład postać Zeusa i jego olimpijskiej rodzinie. Ktoś to wszystko – oczywiście, nie jeden „ktoś” tylko wielu „ktośiów” – wymyślił na tyle sugestywnie, że przynajmniej przez kilkanaście stuleci religia wielu plemion zamieszkujących okolice Morza Śródziemnego była żywotnym czynnikiem obyczajowym, moralnym (częściej: niemoralnym), kulturowym i politycznym.

Ala zostawmy religię, czy może: religie, które przeminęły i teraz się je deprecjonuje, nazywając *mitologią*. Spójrzmy na literaturę i sztukę. Czy wymyślone przez Szekspira historie Romea i Julii oraz Otella i Desdemony są dla nas mniej poruszające przez to, że ich bohaterowie nigdy nie istnieli? Czy nie wzrusza nas los Anny Kareniny, mimo że była Rosjanką, że była niewierną żoną i rzuciła się pod pociąg, a poza tym nigdy poza powieścią Tolstoją nie istniała? Czy nie kochamy Onufrego Zagłoby, Jana Skrzetuskiego i Michała Wołodyjowskiego, nie mówiąc już o Helenie, Basieńce czy Anusi, choć wiemy, że to tylko (aż?) postacie urodzone przez fantazję Sienkiewicza? Czyż nie zachwyca nas *Dziewczyna z perłą*, choć nie jesteśmy pewni, kogo na jej portrecie uwiecznił Vermeer? Kogo nie zachwycał Han Solo, Padmé Amidala, a nawet Chewbacca i C3PO, choć nawet nie wiemy, czy to postacie z nierzeczywistości przeszłej czy przyszłej?

A Grecy, ile pozostawili nam postaci do podziwiania i kochania, choć albo nic o nich nie wiemy, albo wiemy za



dużo, więc też nic nie wiemy? Kto i komu pozował do postaci Afrodyty z Melos (którą lepiej znamy jako Wenus z Milo)? Kogo głaszczą wzrokiem papieże mijając w ogrodach muzealnych figurę Apolla Belwederskiego? Nad kim płaczemy, widząc jak węż duszą Laokoona z dziećmi? Do dziś roztrząsamy dylematy moralne Antygony, współczujemy Edypowi i nie bardzo wiemy, jak odnieść się do postępowania Jokasty, Lajosa i Kreona, choć przecież wiemy, że patrzmy na nich oczami Sofoklesa. A on, zapewne, opierał się na platońskich cieniach, rzucanych przez odległe mity, które jeśli miały jakieś zakotwiczenie w historii, to kotwica ta dawno się urwała, a mity popłynął pod żaglami fantazji twórców.

Jednak największą galerię postaci, które jeśli nawet miały odpowiedniki historyczne, to nic o nich nie wiemy, opisał poeta, na temat którego powstało piękne porzekadło: nie wiemy, czy w ogóle istniał, ale wiemy na pewno, że był ślepy. A więc Homer – twórca, co do istnienia którego spieramy się do dziś – co najmniej osiem wieków przed naszą erą stworzył epopeję pełną bohaterów istniejących tylko w legendzie. Żadne, naprawdę żadne dowody naukowe nie potwierdzają realnego istnienia Agamemnona, pięknej Heleny, Parysa i Hektora, Achillesa i dziesiątków innych bohaterów, o których jeszcze moje pokolenie uczyło się

w szkołach, a opowieści o nich nadal inspirują pisarzy, artystów i filmowców.

W tej homeryckiej spuściźnie, o której śmiało można powiedzieć, że legła u podstaw kultury europejskiej zapewne największe znaczenie ma postać Odyseusza, zwanego też z łacińska Ulisesem, który jest jednym z ważniejszych bohaterów opowieści o wojnie trojańskiej (*Iliada*) i głównym herosem, któremu poświęcona jest druga, prawdę powiedziawszy ciekawsza i bardziej nowoczesna z książ przypisywanych Homerowi – *Odyseja*. I właśnie Odyseuszowi poświęcił swoją *biografię nieautoryzowaną* historyk i filolog klasyczny Tomasz Mojsik.

Niezwykła książka. Autor, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, naukowiec i wykładowca uniwersytecki (dziekan wydziału historii na Uniwersytecie w Białymstoku), który habilitował się w 2020 roku na podstawie pracy o kulcie Odyseusza, jest może najlepiej predestynowaną osobą do stworzenia biografii tej przeciekawej postaci, może najważniejszego z bohaterów mitologii greckiej. Przeczytałem książkę tym chętniej, że postać Odyseusza fascynowała mnie od dawna, a wiedzę na jego temat (no, nie tylko jego) czerpałem dotąd z dwóch znakomicie napisanych książek, opisujących mitologicznych bohaterów z perspektywy kobiecej – *Pieśni o Troi* Colleen McCullough i *Kirke* Madeline Miller. No i z Homera, oczywiście. Teraz Tomasz Mojsik pokazuje Odysa z zupełnie innej, naukowej perspektywy, przede wszystkim niejako *umniejszając* rolę Homera w kreowaniu tego bohatera. Zapewne – jak przypuszcza autor biografii – opowieści o Odysie krążyły między Hellenami jeszcze na długo przed zebraniem ich przez Homera, ale rzecz jasna nie pozostawiły po sobie żadnego materialnego śladu. Po Homerze mit Odyseusza rozszedł się po ziemiach greckich i italskich, był wielokrotnie rozbudowywany, uzupełniany, stworzono na jego temat mnóstwo sequeli i prequeli, a sprytny, męzny i... kochliwy heros stał się już w starożytności prawdziwym bohaterem masowej wyobraźni. I jest nim, prawdę powiedziawszy do dziś, co mu się słusznie należy choćby za wymyślenie konceptu z koniem trojańskim czy wynalezienie sposobów na pokonanie niemilego cyklopa, uwiedzenie kilku nimf i nie zostanie uwiedzionym przez syreny, pokonanie trudności morskich, boskich i ludzkich, no i za unieśmiertelnienie swojej (wielokrotnie zdradzanej zresztą) żony Penelopy, jako wzoru cnót wszelakich. Odyseusz, a dokładniej tytuł homeryckiej opowieści o nim dał początek słowu, trwale obecnemu w naszym języku codziennym: *odys* (niekiedy też: *odys*) to określenie dalekiej, pełnej przygód podróży. Także bardzo dalekiej, jak *Odyseja* kosmiczna 2001 Arthura C. Clarke'a i Stanleya Kubricka. A ktoś z tzw. inteligencji w latach 70. nie snobował się na czytanie (nie koniecznie ze zrozumieniem) *Uliksesa* Jamesa Joyce'a?

Ale oczywiście najczęściej zonglowali postacią i opowieściami o dokonaniach Odyseusza pisarze i historycy z kręgu greko-rzymskiego, rozbudowując i ubogacając to, co o nim opowiedział Homer i dorabiając herosowi przeszłość i przyszłość, tworząc nowe elementy jego rodziny, czyniąc zeń założyciela licznych rodów królewskich, fundatora budowli i miast – w tym Rzymu. Tomasz Mojsik zbiera te wszystkie puzzle i uwiarygodniając swoją opowieść licznymi odniesieniami do źródeł i literatury popularnej tworzy dzieło znakomite, które wszakże czyta się nie najłatwiej, bo wymaga uwagi i niekiedy korelowania we własnej pamięci spraw rozrzuconych w czasie i przestrzeni. Autor, jako dobry, współczesny historyk, najciekawszych odkryć dokonuje nie w terenie, tylko w archiwach:

Skoro Odys śpi, nieświadom, że w końcu wylądował na swej rodzinnej wyspie, nie budźmy go jeszcze przez chwilę. Przez 20 lat nie widział domu, może więc przeczekać jeszcze tę jedną dygresję. Zanim się zbudzi, prześledźmy ponownie trasę jego podróży, ale tak zza biurka, najlepiej w dobrej bibliotece. Postawmy pytania o inne wersje opowieści, trasę jego wyprawy oraz tło kulturowe z czasów Homera. Podróżę zza biurka są zawsze najciekawsze i, cóż, najbezpieczniejsze. Zatem w drogę.

Jak widać, napisane jest to wszystko doskonałym językiem, z niejedną dygresją do współczesności kulturowej, a nawet politycznej – co sprawia, że jest to świetna lektura wakacyjna, choć może raczej na chwilę odpoczynku w chłodniejszych miejscach. Przyznaję, że większość *biografii nieautoryzowanej* Odyseusza przeczytałem w czerwcu w Grecji, co było swojego rodzaju hołdem zarówno dla bohatera, jak i autora. Ale na plaży skupić się nad książką nie mogłem – może dlatego, że wzrok uciekał znad stron do otaczającej rzeczywistości, w której usiłowałem znaleźć współczesne odpowiedniczki Heleny, Penelopy, Kirke, Kalypso, Nauzykai, syren czy bogiń, ale wciąż musiałem uważać, żeby umiejętnie nawigować między Scyllą i Charybdą...

Jak w każdej dobrej biografii, opowieść o Odyseuszu ilustrują zamieszczone pod koniec książki tablice genealogiczne. Oczywiście różni narratorzy wariacji odyseuszowskich przydawali herosowi różnych przodków i różnych dziedziców, więc Tadeusz Mojsik wybrał zapewne tych, którzy z różnych powodów najbardziej mu pasowali. Zrobię tak i ja. Wśród antenatów ojca Odyseusza, Laertesa (pamiętamy to imię z *Hamleta* – tak Szekspir ochrzcił syna Poloniusza i brata nieszczęsnej Ofelii) znaleźli się sam Zeus – wiadomo, ojciec wszystkiego, a także patron kupców, oszustów i posłaniec bogów Hermes oraz

biedny Syzyf, zaś jednym z dzieci Telemacha, syna Odysa i Penelopy miał być chłopiec o imieniu Homer.

Tomasz Mojsik, Odyseusz. Biografia nieautoryzowana, Homini, wydawnictwo Benedyktynów Tyniec, Kraków 2025, 354 strony.

KĄCIK LITERACKI

Violetta Paruszevska

Wciąż chcesz czegoś nowego
Dopiero marzyłeś
o nowoczesnym domu
Wczoraj myślałeś
o nowym aucie
Jutro zapragniesz
egzotycznych podróży
A dziś może
minąłeś kogoś
kto udręczony chorobą
po prostu
chciałby żyć

Jerzy Paruszevski

DZIWNY JESTEŚ

jesz chleb
codziennie
stąpasz bez obaw
po podłodze na piętrze

wchodzisz w tunel
wjeżdżasz na most
nie dziwi Cię
świecąca żarówka
gaz w kuchence
woda w kranie

nie boisz się nawet
własnego psa
więc jak możesz mówić
że nikomu nie ufasz

Krzysztof Saturnin Schreyer

NARKOTYK

Żyć na trzeźwo?
Niepodobna!
Ranią bliscy,
kłamią dalecy,
mającą odległe tragedie .

Jaki narkotyk na ból?,
Gdzie znaleźć
mocną tarczę
paranoi,

ale nie zgubić
jasności myśli?
Leonardo powiedział:
„radość poznawania”.
Ona wszystko
wy tłumaczy.

I jest także,
jeśli jest,
miłość.

Sławomir Maszewski

CHOINKA

Chojnka ubrana samotnie,
nie ma już swojej boskiej mocy,
dawno straciła setki igieł
i mroczną jasność Jednej nocy.

Jej bombki barwami nie błyszczą,
nie drżą od lekkich głosów dzieci,
tańcuch opada smętnie z boku,
lampa, co trzecia tylko, świeci.

Nie ma na niej księżyców Chagalla,
strojnych płatków sztucznego śniegu,
ulicznych pejzaży Cortésa,
aniołka, co bronił od złego.

I stoi w kącie zgarbiona,
wciąż zachowując dumę lasu,
głupi wdzięk i urok milczenia
przyprószone popiołem czasu.

Alicja Patey-Grabowska

WIGILIJNY WIECZÓR

Już ziemia
pod śnieżnym obrusem.
Na choinkach
migocą gwiazdy.

Jaka cisza
w wigilijny wieczór...

Przyłóż ucho
do serca drzewa
a usłyszysz:

Wiatr w gałęziach
kolędy śpiewa
i podzielić się chce
z Tobą
opłatkiem.

Galeria



Fot. Ewa Przybyłowiec



LWÓWEK ŚLĄSKI

Lwówek Śląski to miasto leżące na Dolnym Śląsku w powiecie lwóweckim. W zapiskach historycznych pojawia się także pod nazwą Bóbrzownik.

W epoce starożytnej, jak pisał Ptolemeusz miasto to nazywało się Luppurdum. Przed dziewiątym stuleciem mieszkano tutaj plemię Bobrzan, które zajmowało ziemie ciągnące się wzdłuż rzeki Bóbr. W owym czasie na miasto to zwykło się mawiać Lunak. Z czasem stało się ono głównym grodem plemienia Lunaków.

Według starej legendy nazwę Lwówek nadano miastu po jednym z polowań, mającym miejsce w pobliżu ówczesnej osady. Zapuszczające się szeregi łowczych w leśną gęstwinę, znalazły na jednym ze wzgórz trzy młode lwy, które upolował jednym strzałem z łuku książę Henryk, okoliczny możnowładca. Według innych starych podań, miasto miało otrzymać w swoim herbie lwa dzięki górniczym emigrantom z Miśni, którzy przybyli tu aby wydobywać złoto z pobliskich rzek.

Lwówek Śląski należy do grupy najstarszych polskich miast. Rodzimi kronikarze podają rok 1140 jako datę rozpoczęcia budowy tutejszego książęcego zamku. Według dokumentu odpisu pochodzącego z 1407 roku, w 1209 roku książę Henryk I Brodaty nadał miastu Lwórkowi prawo warzenia piwa i prawo mili, czyli tak zwane średniowieczne prawo handlu.

Początkowo miasto to było własnością książęcą, a później

otrzymało miano miasta królewskiego. Już w dobie wieków średnich Lwówek stał się lokalnym centrum gospodarczym, co wiązało się ze zwiększeniem osadnictwa. Rozwój miasta przyspieszyło dogodne położenie, tuż przy szlaku handlowym zwanym Królewską Drogą, lub Drogą Wysoką prowadzącą z Rusi aż do Saksonii. W 1217 roku Henryk I Brodaty nadał Lwórkowi Śląskiemu prawa miejskie. Już wtedy znajdował się tu rynek, zamek i kościół.

Znajdujący się na terenie miasta zamek książęcy, w dwunastym wieku służył książętom piastowskim za rezydencję. W późniejszym czasie przebywali tu burgrabiowie. W roku 1392 miasto przeszło pod panowanie króla czeskiego, a sam zamek książęcy spłonął w pożarze w 1472 roku. Podjęto wówczas decyzję o nieodbudowywaniu zamku, a teren po zamku miasto otrzymało na własność od króla Czech, aby pobudować tu szpital i kościół.

W latach 1278–1286 Lwówkiem, najbogatsze wówczas miasto Śląska był siedzibą Bernarda Zwinnego, propagatora wartości rycerskich. Podstawowym rzemiosłem Lwówka stało się sukiennictwo i tkactwo, handel oraz obróbka kamienia budowlanego. W 1327 roku miasto uzyskało przywilej bicia własnej monety i prawo organizowania targu solnego. We Lwówku istniało kilka cechów, z których najbardziej znaczą-

cym był cech sukienników. Istniały tutaj też i inne cechy: piekarzy, rzeźników, krawców oraz szewców. Miasto to było znane w całej Polsce z produkcji piwa.

W 1392 roku, po śmierci księżnej Agnieszki Habsburżanki żony Bolka II, Lwówek przeszedł znów pod panowanie czeskie. Sto lat później, miasto należało do Korony Polskiej, a w 1498 roku król Władysław Jagiełłończyk nadał Lwómkowi herb. Miasto przeżywało wówczas recesję gospodarczą.

Dopiero w drugiej połowie XIX wieku nastąpiło pewne ożywienie ekonomiczne tego miejsca. Lwówek uzyskał połączenie kolejowe ze Złotoryją, co umożliwiło handel artykułami spożywczymi. Obok nowoczesnego jak na tamte czasy browaru Hohbergów, powstała wytwórnia wódek.

Dziś miasto to, urokliwa perełka architektoniczna Dolnego Śląska odwiedzane jest przez liczne rzesze turystów.

Ewa Michałowska- Walkiewicz

ROCZNICE

Tadeusz Ajdukiewicz 120. rocznica śmierci

Twórczość Tadeusza Ajdukiewicza była w swoim czasie wysoko ceniona w kręgach dworskich i arystokratycznych Wiednia, Londynu, Bukaresztu, Sofii czy Konstantynopola. Malarz zasłynął przede wszystkim jako wybitny portrecista, który – dysponując doskonałym warsztatem malarskim – osiągnął sukces i zrobił błyskotliwą karierę jako malarz nadworny.

Tadeusz Ajdukiewicz, urodzony w 1852 roku, pochodził z rodziny utalentowanej plastycznie, a jego bratem stryjecznym był malarz Zygmunt Ajdukiewicz. W latach 1868-1873 Tadeusz studiował w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie pod kierunkiem Władysława Łuszczkiewicza. Dzięki otrzymanemu stypendium kontynuował naukę w Akademii wiedeńskiej, a w 1875 roku przeniósł się do Monachium, gdzie podjął studia w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych u Otto Seitz'a i Aleksandra Wagnera i uczęszczał do pracowni Józefa Brandta, dołączając tym samym do grona polskich malarzy monachijskich.

Józef Brandt, zwany Generałem, rezydujący ze swoim sztabem (Kowalski, Ajdukiewicz, Chełmoński) w arystokratycznej kawiarni Cafe Maximilianeum, darzony był szacunkiem i przyjaźnią regenta Luitpolda, który zresztą otaczał sympatią wszystkich polskich artystów pracujących samodzielnie, wspominał Julian Fałat w swoich „Pamiętnikach”. Z kolei Józef Ignacy Kraszewski odwiedzając pracownię polskich malarzy w Monachium żałował, że nie zdążył jeszcze zobaczyć robót chwalonych p. Tadeusza Ajdukiewicza. A były to wyborne kompozycje – sceny parad wojskowych, potyczek, polowań – obrazy, dla których inspiracje płynęły



Portret własny z paletą

wprawdzie z pracowni Brandta, ale pomysły i wykonanie były już indywidualne. Monachijska twórczość Ajdukiewicza od początku spotykała się z dużym zainteresowaniem ówczesnego rynku sztuki, prężnie działającego zwłaszcza w środowisku bawarskim. Jak trafnie zauważał Cezary Jellenta: Tadeusz, starszy, ma smak, a teraz [...] znakomity popyt.

Tadeusz Ajdukiewicz na krótko powrócił do kraju około 1875 roku. Równolegle z działalnością artystyczną zajmował się hodowlą koni i prowadzeniem gospodarstwa w podkrakowskiej Bonarce, gdzie tymczasowo osiadł. W celach zawodowych wyjeżdżał też na Ukrainę, malując portrety ziemiaństwa w majątkach kresowych, zaś w 1877 roku towarzyszył hr. Władysławowi Branickiemu w podróży na Bliski Wschód. Powróciwszy do Krakowa Ajdukiewicz, będąc pod ogromnym wrażeniem niedawnej wyprawy, poszerzył swój repertuar i obok reprezentacyjnych portretów zaczął tworzyć sceny o tematyce orientalnej. Wincenty hr. Łoś, współczesny malarzowi pisarz i kolekcjoner wspominał artystę: Gdy miał pracownię w Krakowie, gdy malował te obrazy i te manewra, które zwróciły nań najprzód uwagę cesarza, a potem Wiednia; gdy malował portret panny Reszke i swe prześliczne, najpiękniejsze według mnie obrazy wschodnie, to był już koniarzem i nadto gospodarzem rolnikiem w Bonarce. Artysta umiejętnie łączył te z pozorów odległe światy, jakimi były działalność artystyczna oraz dbałość o gospodarstwo i prowadzenie hodowli koni. W tym właśnie czasie, w roku 1880 malarz sportretował przebywającą w Krakowie aktorkę Helenę Modrzejewską, a płótno od początku wzbudzało zasłużony zachwyt. Stanąwszy przed tą białą, wysmukłą postacią, patrzącą z gobelinowego tła czarnymi oczyma jakoby w nieskończoność, od pierwszego rzutu oka poznajemy, że mamy przed sobą jakąś niezwykłą kobietę, i nie tylko piękność, nie tylko damę wyższego świata, ale duch wysoki! – pisał Henryk Sienkiewicz. Całopostaciowy „Portret Heleny Modrzejewskiej”, подарowany przez artystę do zbiorów krakowskiego Muzeum Narodowego w 1883 roku, stanowi znakomity przykład akademizmu w malarstwie europejskim dziewiętnastego wieku.

W latach 1882-1893 Tadeusz Ajdukiewicz zamieszkał w Wiedniu, gdzie wkrótce przejął pracownię po słynnym malarzu Hansie Makarcie i zyskał uznanie w kręgach arystokratycznych oraz dworskich jako malarz portrecista. Wojciech Kossak pisał w liście do żony z Wiednia wiosną 1887 roku: Potem byłem u Ajdusia [Tadeusza Ajdukiewicza], pracownia jest bardzo świetna, światło ani się umywało do mojej krakowskiej, ale przede wszystkim idzie o to, żeby na początek mieć locum standum. Dom, w którym jest, przepyszny, o dziesięć minut piechotą od Opery, i już kilku malarzy szturmuje Ajdusia o nią.

Ajdukiewicz zdobył w Wiedniu rozgłos, który zawdzięczał zarówno swojemu talentowi i wysokiej klasie artystycznej tworzonych portretów, jak też i randze samych portretowanych, wśród których był i cesarz Franciszek Józef I, i następca tronu arcyksiążę Rudolf. Malarz nie porzucił przy tym zamiłowania do hodowli koni i gospodarskiej pracy. On zawsze był szczęśliwy, ale gwiazda jego dopiero zaczęła błyszczeć od chwili, gdy zajął pracownię po



Portret Heleny Modrzejewskiej

Mackarcie w Wiedniu, pisał Wincenty hr. Łoś. Dziś w Wiedniu, gdy jest rodzajem nadwornego malarza faworyta, gdy maluje cesarskie manewra, portrety arcyksiążąt i pięknych Wiednia patrycyuszek, jest dalej na większą skalę koniarzem i nadto gospodarzem rolnikiem w swej posiadłości zwanej Breitenfurt, leżącej tuż pod stolicą. [...] W Wiedniu utrzymuje stale po ośm koni...

Po 1893 roku Ajdukiewicz dużo i często podróżował, przebywał w Londynie, gdzie portretował księcia Walii (późniejszego króla Edwarda VII), w Konstantynopolu malował sułtana Abdul Hamida II, pracował w Sofii i Petersburgu. Ostatecznie w 1904 roku osiadł pod Bukareszttem jako malarz rumuńskiego dworu królewskiego. Obok portretów króla Karola I i rodziny królewskiej malował obrazy historyczne i batalistyczne, między innymi wysoko ceniony „Przeгляд armii rumuńskiej”, wykonał też dekoracyjne fryzy z motywem koni w Pałacu Peleş, letniej rezydencji królów Rumunii położonej w miejscowości Sinaia. W dojrzałym okresie twórczym Ajdukiewicz, podróżując po Bałkanach i mieszkając w Bułgarii oraz w Rumunii, chętnie powracał w swoich pracach do tematyki oriental-



Scena z powstania styczniowego



Scena arabska

nej. Ulubionymi motywami wielu kompozycji były sceny z targów i przedstawienia jeźdźców na tle bezkresnego pejzażu stepowego. Po wybuchu pierwszej wojny światowej artysta powrócił do kraju i zaciągnął się do służby w Legionach Polskich. Zmarł w szpitalu wojskowym w styczniu 1916 roku, pochowany został na Cmentarzu Rakowickim.

Obrazy Tadeusza Ajdukiewicza, prezentowane niegdyś na wystawach w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, w warszawskiej Zachęcie oraz w Salonach Krywulta i Ungera, znalazły miejsce w krajowych zbiorach muzealnych. Ale i współczesny rynek antykwary-



Portret konny cesarza Franciszka Józefa I

czny ma do zaoferowania prace tego malarza o bogatym, zróżnicowanym dorobku artystycznym i jakże ciekawej biografii.

Katarzyna Łomnicka

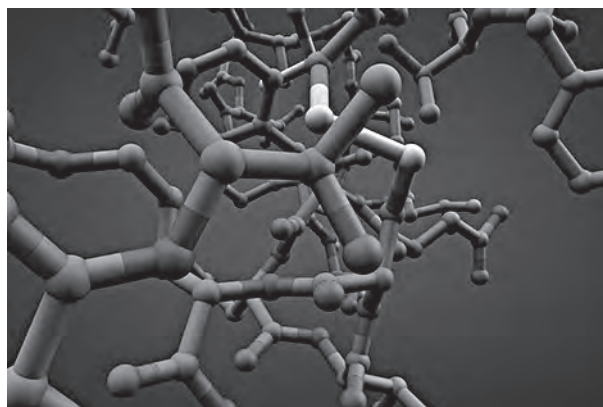
ŚLEDŹ POLIMEROWANY

Maciej Pinkwart

Dobra, przyznaję się: to wszystko moja wina. Oczywiście, nie jestem na tyle egocentryczny, żeby twierdzić, że tylko moja. Tych, których zaniechaniom zawdzięczamy to co mamy, jest więcej. Powiedziałbym – jest ich jakieś osiem miliardów. Ale obecność w gronie wszystkich współczesnych Ziemiaków (i paru miliardów tych, którzy byli przedtem) mojej winy nie wyklucza, choć trochę ją umniejsza. A było tak.

Kiedy w milanowskim liceum zacząłem być edukowany z nowoczesnej fizyki – nie mogłem się nadziwić, że to wszystko jest takie ciekawe, a w dodatku – że wszystkiego tego naucza nas jedna z najstarszych nauczycielek w szkole, z powodu specyficznej urody wdzięcznie nazywana *Kobyłą*. Ja wiem, że z urody nie należy się wyśmiewać, ale ja się wcale nie wyśmiewam, tylko informuję, a poza tym, nie o urodzie tu mówię, tylko wręcz przeciwnie. Fascynujące było i to, czego Julia Heybowicz uczyła, znacznie wykraczając poza oficjalny program, którym – zdaje się – kompletnie się nie przejmowała, a poza tym to, że robi to osoba, która była tak wiekowa (gdy dochodziłem do matury, miała 68 lat...) i która była uczestniczką powstania warszawskiego, tak jak mój ojciec, od którego nota bene była o rok młodsza. Była absolwentką Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego i to w moich oczach stawiała ją gdzieś w okolicach Marii Skłodowskiej-Curie. To od niej dowiedziałem się o cząstkach atomowych i promieniowaniu subatomowym, o promieniotwórczości naturalnej i sztucznej, o teorii nieoznaczoności Heisenberga i kocie Schrödingera, o entropii, fotonach, antymaterii, dziurze Diraca, zasadach Pauliego i w ogóle o fizyce kwantowej. To ona skierowała moją uwagę na literacką wartość fizyki i dzięki niej zacząłem czytać opowiadania George'a Gamowa o panu Tompkinsie i razem z nim poznawałem atom i mechanikę, rządzącą tym małym-wielkim światem.

Zostałem przewodniczącym szkolnego kółka fizycznego, pomagałem roztawiać aparaturę do ćwiczeń i niekiedy w zastępstwie profesorki prowadziłem zajęcia, próbując ubrać w literacką formę różne trudne sprawy, na przykład opowiadając o niemożliwych do przeprowadzenia poszukiwaniach czarnego kota w piwnicy z węglem przy pomocy latarki, w której fotony byłyby wielkości piłek tenisowych... Nigdy specjalnie nie lubiłem kotów.



W dodatku, pani profesor uczyła także astronomii. Dzięki niej dowiedziałem się o Wielkim Wybuchu i rozmaitych teoriach kosmogonicznych, ale tu się specjalnie nie zachwyciłem, bo nigdy nie potrafiłem wyszukać na nocnym niebie żadnego gwiazdozbioru, a już zupełnie nie umiałem zobaczyć w nich tych wszystkich Łabędzi, Psów, Skorpionów i Niedźwiedzi. Zresztą wkrótce w Milanówku zapanował smog świetlny i już niczego ciekawego nie widywałem po nocy. Wszystko wydawało mi się czarną materią, żeby nie powiedzieć czarną dziurą. Ale czarnych dziur wtedy nawet jeszcze oficjalnie nie znano.

Po latach, kiedy moja dawna profesorka od polskiego chwaliła się na spotkaniu szkolnych emerytów otrzymaną ode mnie pierwszą moją książką, z serdeczną dedykacją oczywiście, profesorka od fizyki parsknęła ze złością: *Nie mów mi o tym zdrajcy! Miał być fizykiem...*

No, nie do końca. Któregoś dnia bowiem pojawiła się w szkole nowa nauczycielka chemii. Niedawno skończyła studia, była pełna świetnych pomysłów, przeprowadzała kolorowe doświadczenia, miała piękne rude włosy i – jeśli dobrze pamiętam – nienaganną figurę. Dzięki profesorce Joli Osińskiej wpadłem w świat tworzyw sztucznych, które wydawały mi się prawdziwą krainą czarów. Oczywiście, istniały naturalne polimery – jak na przykład zwykłe drewno – ale polimery sztucznie produkowane na bazie powszechnie dostępnej (wówczas) i taniej (wówczas) ropy naftowej wydawały się wtedy Świętym Graalem przemysłu: niedrogie, nadające się do masowej produkcji i do wytwarzania w zasadzie wszelkich form przemysłowych i różnorodne: miękkie i twarde, termoplastyczne i termoutwardzalne, łatwe do farbowania na najróżniejsze kolory, obojętne chemicznie i co najważniejsze – wprost idealne do recyklingu: wystarczyło – jak sądziłem – taki zużyty polietylen podgrzać, roztopić, wlać do formy i wyprodukować nową rzecz. A termoutwardzalny poliestr czy silikon nie dawał się co prawda roztopić, ale wydawało się, że zmielony na pył koniec końców da się

skleić jakimś klejem epoksydowym i już można produkować z niego nowe rzeczy.

Próbowałem pogodzić fizykę i chemię, zwłaszcza gdy pani od chemii pokazała mi nieznany wcześniej świat prawdziwej budowy cząsteczki wody, której dipolowa, czyli dwubiegunowa elektrycznie struktura była przyczyną doskonałych własności rozpuszczających. Może taka struktura pozwoli na pełną odwracalność procesu polimeryzacji? – myślałem. Wybrałem więc chemię i to przemysłową, składając papiery na Politechnikę Warszawską.

Po studniówce koledzy przekonali mnie, że jako bałwan matematyczny nie mam szans. Przeniosłem papiery na uniwersytecką neofilologię. Na maturze zdawałem chemię, ale komisja była wspólna – fizyko-chemiczna, a pytano mnie (naprawdę to wylosowałem!) o sztuczną promieniotwórczość i przyszłość produkcji polimerów. Jakoś nie połączyłem tych dwóch spraw, choć może bombardowanie plastiku promieniami gamma załatwiłoby sprawę, tak jak załatwia wiele innych rzeczy. Maturę zdałem. Poszedłem na orientalistykę.

Wiele lat później zacząłem jeździć po *moim* świecie, świecie śródziemnomorskim. Zabytki, będące dowodem na źródła *mojej* kultury, fascynująca przyroda, przyjemny klimat, wspaniałe widoki, przyjazne morze... Przez lata niektóre miejsca stawały się znajome, zaprzyjaźnione, wracało się do nich niemal jak do siebie. I któregoś lata, po kilkudniowym wietrze od południa, nie poznałem jednej z oswojonych od lat zatoczek: między kamiennymi klifami w piękny, słoneczny dzień nie lśniło lustro wody, tylko mieniło się wszystkimi kolorami tęczy morze plastiku. Kiedy indziej na egipskiej pustyni samum sypał mi w twarz piasek i plastikowe torebki.

Właśnie wróciłem ze sklepu, gdzie kupiłem bułkę, pomidory, parę jabłek, dziesięć deko baleronu i żółty ser. Wszystko opakowane w plastikowe torebki. Dlaczego nie w naturalne polimery, papier czy teksturę? Bo plastik jest tańszy w produkcji, choć droższy w recyklingu.

Trudno mi zrozumieć, że w XXI wieku, kiedy już niebawem wyprodukujemy leki leczące impotencję seksualną i umysłową, raka, starość, śmierć, a może nawet chamstwo – nie potrafimy wynaleźć metody na degradowalność plastiku czy odwracalność procesu polimeryzacji. Ale trudno mi też zrozumieć to, że z takim wysiłkiem naukowym poszukujemy wody na Marsie, a nie potrafimy jej wydobyć spod piasków Sahary. Wiem, pisałem o tym wiele razy, napisze pewno jeszcze nie raz. Ubolewamy nad tym, że rekiny i wieloryby duszą się odpadami plastikowymi, że w tuszach ryb znajdują się drobinki plastiku, które po zjedzeniu krążą

w naszych żyłach i zatruwają nasze płuca, wątroby i mózgi, że ptaki wiją gniazda wykorzystując śmietnikowe odpady plastikowe – a parlament europejski w planach poprawy warunków klimatycznych mówi tylko o okropnych paliwach kopalnych, nie zastanawiając się nad tym, co jeszcze szkodliwego produkujemy z ropy naftowej i jak bardzo nad tym wszystkim nie panujemy. Dobra, wiem, że ropopochodna aspiryna pomaga na wiele chorób, a ropopochodna wazelina jest podstawowym produktem w polityce wewnętrznej i zagranicznej niektórych krajów – ale o ile wiem, aspiryna ani wazelina nie jest pochłaniana przez śledzie, choć prawdę powiedziawszy nie wiem, co się z nimi efektywnie dzieje w naszych organizmach.

Inna rzecz, że nie spodziewam się żadnych stanowczych regulacji prawnych w dziedzinie plastiku od organizacji, która nie potrafi od kilkunastu lat podjąć decyzji o zlikwidowaniu zmian czasu na swoim terenie. Natomiast radośnie uchwaliła prawo, nakazujące przymocowywanie plastikowych nakrętek do plastikowych butelek, żeby nakrętki te się nie gubiły i nie były połykane przez nasze dzieci i psy. Tak, wiem, że to ważne. Ale moje dziecko kiedyś połknęło metalowy spinacz i trzeba było *via* rentgen śledzić jego wędrówkę przez organizm. Przeszedł swobodnie. Inna rzecz, że jeszcze Unia się tym nie zajęła. Zresztą, wtedy jeszcze nie należeliśmy do Unii.

Teoretycznie sprawa jest prosta: każdy wprowadzany na rynek produkt powinien zawierać przepis na technologię jego degradacji bez szkody dla środowiska. Ale lobby plastikodawców obaliłoby ten projekt raz-dwa.

Można jednak liczyć na to, że z biegiem czasu – za kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy lat – z problemem tym poradzi sobie ewolucja: albo natura sama wynajdzie sposób na to, byśmy – my, zwierzęta – potrafili sami trawić plastik, albo nas szlag trafi *in gre-mio* i wreszcie będzie na Ziemi święty spokój.

Ale może nie trzeba się tym zbytnio przejmować, tylko uważać, żeby nie włożyć sobie w łazience na głowę plastikowej torby, unikając losu Jerzego Koscińskiego, jadać włoszczyznę bez opakowania i ufać, że nie dający się zniszczyć na wysypiskach przez tysiące lat plastik nie wniknie w nasze organizmy, a jeśli już wniknie, to poczyni w nich mniejsze spustoszenie niż codzienne oglądanie telewizji, czytanie gazet i scrollowanie Facebooka i Tik-toka.





Fot. Aneja Łabuszko-Łabuszewska

Marian Walentynowicz

130. rocznica urodzin

KIM BYŁ MARIAN WALENTYNOWICZ, TWÓRCA ZNAKU CICHOCIEMNYCH

Choć większość kojarzy go tylko jako ojca Koziołka Matołka, Marian Walentynowicz był postacią wszechstronną – rysownikiem, autorem reportaży z podróży po świecie, korespondentem wojennym na pierwszej linii, twórcą znaku Cichociemnych, reklam, scenografii – mówi Marek Górlikowski, autor książki „Ilustrator”.

Marian Walentynowicz był związany z Warszawą przez większość swojego życia. „Do końca też pozostał aktywny zawodowo. Zależało mi by w tej biografii ukazać go jako postać „z krwi i kości”, namalować nie lukrowany, ale prawdziwy portret wszechstronnego twórcy, dla którego Koziołek Matołek był ważną, ale tylko częścią jego działalności” – dodał Marek Górlikowski.

Marian Walentynowicz urodził się w 1896 r. w Petersburgu, gdzie jego ojciec pracował jako inżynier. „Uciekając przed rewolucją październikową rodzina przeniosła się do Warszawy, gdzie Marian podjął studia na Politechnice, jednak przerwał je by walczyć o niepodległość Polski w 1918 r. jako żołnierz 1. Pułku Ułanów Krechowieckich, dostał Krzyż Walecznych, walczył m.in. w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. Później wrócił na studia, które jednak trwały dość długo, bo równolegle pochłaniały go inne aktywności” – relacjonował.

Szybko odkryto jego talent rysownika, zaczął ilustrować książki wydawane przez Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa, artykuły prasowe. Dzięki licznym zleceniom miał środki na podróże po świecie, które były jego pasją. Należał już przed wojną do towarzystwa National Geographic. W 1924 r. był w Turcji, rok później w Tunezji, w 1927 r. w Maroku, potem w Algierze i Egipcie, w 1934 r. zwiedził cały Bliski Wschód i kraje azjatyckie.

Jak opowiadał Marek Górlikowski, pomysł zajęcia się postacią Walentynowicza pojawił się podczas rozmów w wydawnictwie. „Po pierwsze dlatego, że to wyjątkowy twórca, którego biografii nikt wcześniej nie napisał. Po drugie przypominałem sobie audycję radiową sprzed lat, w której wspomniano, że ktoś z bliskich zachował jego dokumenty i zapiski. Postanowiłem, że chociaż spróbuję do tych krewnych dotrzeć. Udało się i na strychu jego bratanicy odkryłem prawdziwy skarb – kartony rękopisów, taśm fotograficznych, grafik, zarówno przed, jak i powojenny” – mówił Marek Górlikowski.



„Zabrałem się do pracy, która nie była łatwa, bo Walentynowicz nie pozostawił żadnych listów. Spędziłem sporo czasu w archiwach, głównie przeglądając stare gazety, do których przez lata pisał artykuły. Z czasem odkrywałem coraz więcej pól, na których działał, bo był twórcą naprawdę wszechstronnym, pracowitym i utalentowanym. Znany często tylko jako rysownik postaci Koziołka Matołka, był także autorem grafik, plakatów, reklam, karykatur, okładek partytur, scenografii baletowych i reportaży z licznych podróży, tworzył audycje radiowe, a także robił naprawdę wyjątkowe fotografie” – wymieniał Marek Górlikowski.

W 1936 roku wyruszył w podróż dookoła świata z Gdyni do Nowego Jorku „Batorym”, a potem przez USA do Azji i przez Bliski Wschód do Europy. W 1937 i 1938 r. przejechał Afrykę Zachodnią i puszcę w Kanadzie. „A przed samą wojną wyjechał na wystawę światową do Nowego Jorku jako prezes Polskiego Baletu Reprezentacyjnego. Podróże dokumentował licznymi zdjęciami i rysunkami, obrazującymi ówczesny świat i pisał z nich

reportaże do Kuriera Warszawskiego” – powiedział biograf.

Na początku lat 30. ze względu na popularność komiksu na Zachodzie, gdzie triumfy święciła Myszka Miki i Kaczor Donald, powstał pomysł polskiej odpowiedzi. „Są różne wersje tego jak narodził się Koziołek Matołek. Według pierwszej Jan Gebethner i Walentynowicz spotkali się w kawiarni i przy winie doszli do wniosku, że można by spróbować zrobić polski komiks o jakimś miłym zwierzątku, a fajnym autorem tekstu byłby Kornel Makuszyński. I pojechali do Otwocka, gdzie ten leczył cukrzycę w sanatorium” – podkreślił Górlikowski.

„Makuszyński początkowo odmówił. Ale Walentynowicz zaczął opowiadać, że mógłby narysować przygody takiego podróżnika, co go trochę przekonało. Później zastanawiali się, jakie to powinno być zwierzątko i w końcu Walentynowicz wymyślił koziołka. Żona Makuszyńskiego jednak twierdziła, że autorem pomysłu był jej mąż. W każdym razie Koziołek Matołek miał trzech ojców – wydawcę Jana Gebethnera, Kornela Makuszyńskiego, który pisał i Mariana Walentynowicza, który rysował” – zauważył Górlikowski.

„120 przygód Koziołka Matołka” było gotowe w grudniu 1932 r., by mogło stać się prezentem gwiazdkowym. „Oficjalna data wydania to wprawdzie 1933 r., ale pierwsze egzemplarze jej nie doczekały, bo wszystkie wyprzedzały się przed końcem roku. Pocziwy Koziołek poszukujący drogi do Pacanowa, gdzie „kozy kują”, zdobył na lata serca dzieci i ich rodziców. Tak wielki sukces skłonił autorów do zrobienia jeszcze trzech części, a później stworzenia przygód Małpki Fiki Miki” – powiedział Marek Górlikowski.

Podczas II wojny światowej Marian Walentynowicz został korespondentem wojennym przy 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, z którą przeszedł cały szlak bojowy dokumentując zarówno walki, jak i życie codzienne żołnierzy. Robił zdjęcia „na pierwszej linii” jeżdżąc wozami bojowymi i czołgami.

W tym czasie stworzył także przeznaczony dla dorosłych najdłuższy odcinkowy polski komiks wojenny „Walenty Pompka na wojnie”. „Dzisiaj już dosyć zapomniany, cieszył się wówczas dużą popularnością, opisując często dosyć fantastyczne i niepoprawne politycznie przygody żołnierzy, niestroniących od alkoholu czy romansów. Walentynowicz ma też zresztą na koncie rysunki stricte erotyczne, dystrybuowane trochę „spod lady”, do czego między innymi nawiązuje tytuł mojej książki „tylko dla dorosłych” – zaznaczył autor.

Marian Walentynowicz był również autorem znaku Cichociemnych w formie spadającego na wroga orła. Ten znak został ustanowiony przez Naczelnego Wodza



gen. Władysława Sikorskiego w 1941 r. dla nowego rodzaju wojsk polskich 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej. „Po zakończeniu wojny twórca przez chwilę rozważał pozostanie na Zachodzie. Co ciekawe, wśród rzeczy na strychu znalazłem też teczkę podpisaną „Norymberga” ze szkicami uczestników procesów norymberskich, portretami Hessa, Goeringa, całej ławy oskarżonych, a więc rysowniuk musiał tam być osobiście” – zauważył.

W 1947 r. Walentynowicz zdecydował się jednak powrócić do Polski, gdzie kontynuował działalność twórczą ilustrując tytuły prasowe i książkowe. „Prowadził także w Programie Drugim Polskiego Radia audycję dla dzieci, w której zadawał najmłodszym temat do malowania i opowiadał bardzo plastycznie o swoich podróżach, a słuchacze mieli potem przysyłać do radia wykonane rysunki” – mówił Górlikowski.

Jednym z radiowych uczniów twórcy był rysownik i satyryk Andrzej Mleczko. „Walentynowicz powiedział podczas audycji, co Mleczko zapamiętał: „Andrzejku, ładnie rysujesz, ale dlaczego twoje rysunki są takie smutne?”. Słuchaczem audycji był również niedawno zmarły rzeźbiarz Adam Myjak, który powiedział mi, że Walentynowicz naprawdę wiele go nauczył. Nasz bohater był też autorem najbardziej znanych u nas okładek baśni braci Grimm, a także „Baśni z tysiąca i jednej nocy” oraz baśni Jana Christiana Andersena” – wyliczał.

„Więc chociaż przeszedł szlak bojowy z żołnierzami gen. Maczka, jakoś odnalazł się w nowym systemie. Myślę, że był w pewien sposób konformistyczny, po prostu rysował dla wszystkich. Zilustrował więc np. książkę Wandy Wasilewskiej i stworzył socrealistyczną postać Felka Tarapaty albo Don Kichota jako przodownika pracy, choć wprawne oko może się tu doszukać wyszydzenia systemu komu-

nistycznego. Pod koniec życia zaczął pisać wspomnienia dotyczące okresu II wojny, jednak jak mówiła jego bratanica, pisał je dla siebie. Ale po jego śmierci jego brat Bogdan Walentynowicz zaniósł je do PAX-u, zredagował i tak powstała książka „Wojna bez patosu” – podkreślił Górlikowski.

To wojenne wspomnienia, jednak – jak zaznaczył – widać w nich także ironiczne, niekiedy szydercze poczucie humoru twórcy. „Dostrzegał wiele absurdów „na zapleczu” działań wojennych np. to, że długo nie mógł dostać awansu na wyższy stopień, bo ktoś się dowiedział, że przed wojną przyjaźnił się z żoną ministra Józefa Becka, który był z przeciwnego obozu politycznego niż ówczesne władze. Jego poczucie humoru skutkowało też tworzeniem wielu karykatur. Czasem robił też rzeczy słabsze, komercyjne, po prostu dla pieniędzy. Generalnie jednak korzystał ze swojego talentu by dokumentować rzeczywistość” – ocenił biograf.

Marian Walentynowicz pokazywał dynamicznie zmieniający się świat XX wieku. „Przed wojną pracował dla gazet o różnym zabarwieniu politycznym, ma więc też na koncie rysunki o charakterze antysemitycznym. A z niektórych reportaży z Afryki przebija głos ówczesnych elit, takiej „wyższości białego człowieka”, który dzisiaj byłby uznany prawdopodobnie za rasistowski. Z drugiej strony to jednak także ciekawe studium zmian, jakie zaszły

w mentalności Europejczyków. On zresztą miał też chyba w tych kwestiach trochę wyższą świadomość i w niektórych artykułach trochę się naśmiewa z tego białego człowieka stereotypowo patrzącego na Afrykę” – wskazał.

Zdaniem autora Walentynowicz był postacią wszechstronną, wielowarstwową i wielopoziomową. „Niezbycie wiele w sumie wiadomo zaś o jego życiu prywatnym. Był bardzo związany z matką, rodzeństwem, ich rodzinami, jak wspomina bratanica był serdeczny, spędzali razem dużo czasu. Chociaż drobnej postury, cieszył się dużym powodzeniem wśród kobiet, bo był inteligentny i zawsze gustownie ubrany. Często żartował z tematów damsko-męskich mówiąc, że trudniej się nie ożenić niż ożenić. Sam związek małżeński zawarł dopiero w wieku 60 lat, w tajemnicy przed rodziną, z dużo młodszą kobietą” – zaznaczył Górlikowski.

wszystkoconajwazniejsze.pl





Skonał rok stary; z jego popiołów wykwiła
Feniks nowy, już skrzydła rozłącza na niebie;
Świat go cały nadzieją i życzeniem wita.
Czegoż w tym nowym roku żądać mam dla siebie?

Może chwilek wesotych? - Znam te błyskawice;
Kiedy niebo otworzą i ziemię oztocą,
Czekamy wniebowzięcia: aż nasze źrenice
Grubszą niżeli pierwszej zasępią się nocą.

Może kochania? - Znam tę gorączkę młodości;
W platońskie wznosi sfery, przed rajskie obrazy.
Aż silnych i wesotych strąci w ból i młodości,
Z siódmego nieba w stępy między zimne głązy.

Chorowatę, marzytem, latałem i spadam;
Marzytem boską różę, bliski jej zerwania
Zbudziłem się, sen zniknął, róży nie posiadam,
Kolce w piersiach zostały. - Nie żądam kochania.

Może przyjaźni? - Któż by nie pragnął przyjaźni!
Z bogiń, które na ziemi młodość umie tworzyć,
Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni
Najpierwszą zwykłą rodzić i ostatnią morzyć.

O! przyjaciele, jakże jesteście szczęśliwi!
Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc spotem,
Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem:

Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chtośnie
Lub je żądło owadów jadowitych drażni,
Jakże każda gałązka dręczy się niezdolnie
Za siebie i za drugie! - Nie żądam przyjaźni.

I czegoż więc w tym nowym roku będę żądał?
Samotnego ustronia, dębowej pościeli,
Skąd bym już ani blasku słońca nie oglądał,
Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni też przyjaźni.

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
Chciałbym we śnie, z którego nie mię nie obudzi.
Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata:
Kochać świat, sprzyjać światu - z daleka od ludzi.

Adam Mickiewicz: Noey Rok



Józef Hofmann

150. rocznica urodzin

Wirtuoz fortepianu oraz wynalazca dziesiątek innowacji zmieniających codzienne życie (w tym między innymi wycieraczek samochodowych, spinacza biurowego, podwalin pod nawigację drogową oraz grzałki do wody). Mimo to w kraju jest postacią praktycznie anonimową.

NIEZWYKŁE DZIECKO

Józef Hofmann urodził się 20 stycznia 1876 roku w Krakowie. Jego matka Matylda Pindelska była śpiewaczką, natomiast ojciec Kazimierz znanym w środowisku dyrygentem i pianistą. Józef naukę gry na fortepianie rozpoczął w wieku trzech lat. Początkowo uczyła go starsza siostra Wanda, następnie ciotka. Gdy miał cztery lata, rolę nauczyciela przejął jego ojciec Kazimierz. Niespełna dziesięcioletni Józef 6 stycznia 1886 roku w Warszawie zagrał Koncert d-moll Mozarta pod batutą swojego taty. Niemal z marszu zaczął koncertować po Europie, by 29 listopada 1887 roku w wieku 11 lat zadebiutować w nowojorskim Carnegie Hall. Do końca 1887 roku zagrał 52 koncerty przed amerykańską publicznością. Występów byłoby więcej, ale tournée przerwano po proteście Nowojorskiego Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Dzieci, niepokojącej się o zdrowie chłopca. Wyrok sądu sprawił, że kontraktu obejmującego 80 występów nie udało mu się zrealizować. Pomimo to Józef Hofmann zyskał status gwiazdy. Wkrótce potem szwajniczy potentat i filantrop Alfred Corning Clark ufundował mu stypendium w wysokości 50 000 dolarów pod warunkiem, że przed osiągnięciem pełnoletności nie będzie koncertował.

OD PIANISTY DO WYNALAZCY

Krakowianin udał się wówczas do Berlina, gdzie zaczął kształcić się muzycznie pod okiem innego słynnego rosyjskiego pianisty - Antona Rubinsteina. Ponadto poszerzał swoją wiedzę z zakresu matematyki, fizyki i chemii. Nauka szybko stała się jego drugą pasją i miała silny wpływ na późniejsze losy Józefa Hofmanna. Bliższą styczność ze światem techniki zawdzięczał między innymi Thomasowi Edisonowi. Pod koniec 1887 roku panowie zaczęli listowną konwersację na temat możliwości wykorzystania wynalazku Amerykanina - cylindrycznego urządzenia do zapisu dźwięku. Gdy po dwóch latach Edison udoskonalił fonograf, wysłał mu jeden z trzech egzemplarzy, które trafiły do Europy (pozostałe dwa otrzymali car Rosji oraz centrala Deutsche Post).



Mimo ogromnego talentu muzycznego największą pasją Hofmanna było udoskonalanie cudzych i tworzenie własnych wynalazków. Zaprojektował on wiele ulepszeń wykorzystywanych później przez miliony ludzi. Opracował między innymi pneumatyczne amortyzatory, rozwiązania konstrukcyjne zastosowane w balonach i samolotach, wymyślił spiralną grzałkę do gotowania wody, piec na ropę naftową, a nawet motorówkę. Przypisuje mu się również wynalezienie spinacza biurowego, którego powstanie zainspirowały kształty nut.

REWOLUCJA W MOTORYZACJI

Wbrew temu, co niektórzy próbują wmówić, Józef Hofmann nie zaprojektował wycieraczek, tylko rozwinął powszechnie znane już wówczas pomysły. Pierwsze wycieraczki poruszane były ręcznie przez kierowcę. Jednak to Mary Anderson na początku XX wieku opracowała mechanizm poruszania nimi z wewnątrz pojazdu. Z kolei Polak wpadł na pomysł samoczynnie poruszających się wycieraczek, inspirowanych metronomem służącym w muzyce do podawania tempa utworu. Innowacja przykuła uwagę inżynierów Forda, którzy wdrożyli rozwiązanie Hofmanna do swoich samochodów. Początkowo uważano, że wycieraczki rozpraszają uwagę kierowcy podczas jazdy, co może powodować różnego typu zagrożenia. Rozpoczęły się poszukiwania lepszego oraz

bardziej skutecznego rozwiązania i trwają do dzisiaj...

Hofmann znalazł także błąd w papierowym systemie nawigacyjnym J.W. Jonesa. Składał się on ze specjalnego dysku z zapisem trasy oraz podłączonego do napędu samochodu odtwarzacza, który obracał mapę wraz z przemieszczaniem się pojazdu. Nasz rodak uważał, że problem stanowiła skala mapy. Zbyt mała, a przez co nieczytelna po wejściu do danych miejscowości i równie nieprzydatna w miastach, gdy chciano skorzystać z niej poza nimi. Krakowianin usprawnił urządzenie i od razu zgłosił do urzędu patentowego. Hofmann stworzył dysk z taśmowymi mapami o różnej skali, które automatycznie zmieniałyby prędkość obracania się całego systemu nawigacyjnego przy przechodzeniu z jednej skali w drugą. Genialne prawda?

PROBLEMY I SAMOTNOŚĆ

50 lat po debiucie w Carnegie Hall wystąpił w nowojorskiej Metropolitan Opera. Był to jednocześnie pierwszy

w całości nagrany koncert muzyka. Niestety później było już tylko gorzej. Alkoholizm i problemy rodzinne sprawiły, iż coraz rzadziej koncertował. W 1948 roku wycofał się z życia publicznego. Jednak nie porzucił swojego hobby - wynalazków. Na rok przed śmiercią, w rozmowie z dziennikarzem radiowym wyznał, iż teraz pracuje nad udoskonaleniem techniki nagrywania fortepianu. Nie pogodził się z tym, że technologia nie nadążała za jego oczekiwaniami. Ostatnie lata spędził głównie w samotności. Zmarł 16 lutego 1957 w Los Angeles. W 1988 roku, gdy firma Steinway & Sons obchodziła jubileusz, postanowiła wywiesić nad sceną nowojorskiej Carnegie Hall portrety najwybitniejszych pianistów grających na ich instrumentach. Obok Franciszka Liszta, Ignacego Paderewskiego, Antona Rubinsteiniego czy Siergieja Rachmaninowa znalazła się również podobizna człowieka wielu talentów - Józefa Hofmanna.

źródło: internet

Galeria



Karol Grabowski

Fot. Karol Grabowski

Jerzy Ofierski 100. rocznica urodzin

Jako sołtys Kierdziołek z Chlapkowic wyśmiewał absurdy PRL-u. Został honorowym obywatelem wielu polskich wsi i... amerykańskiego miasta Syracuse. Jeszcze dwa miesiące przed swoją śmiercią Jerzy Ofierski wystąpił podczas inauguracji kampanii wyborczej partii ludowców. Przemówienie zaczął od słynnego "Cie choroba".

Jerzy Ofierski urodził się 11 stycznia 1926 r. w Ostrowie Wielkopolskim w rodzinie kupieckiej. Poczucie humoru podobno odziedziczył po pradziadku i dziadku ze strony ojca. Ten pierwszy był chłopem pańszczyźnianym i uczestnikiem powstania styczniowego, ten drugi wyemigrował do USA, gdzie pracował jako górnik w kopalni w Pensylwanii, do Polski wrócił w 1919 r. W swoim ostatnim wywiadzie Jerzy Ofierski mówił: *Może dlatego mnie ciągnęło do Ameryki? W USA byłem 52 razy, dałem tam 1080 występów!*

Gdy wybuchła II wojna światowa, Jerzy Ofierski był uczniem gimnazjum. Jesienią 1939 r. został razem z rodzicami przesiedlony przez Niemców do Generalnego Gubernatorstwa. Poszedł na kurs rolniczy, nauczył się siał i orać. Walczył w partyzancie, najpierw w oddziale Narodowych Sił Zbrojnych Wacława Piotrowskiego "Cichego" na Lubelszczyźnie, potem w oddziale specjalnym Batalionów Chłopskich pod dowództwem Wacława Adamczyka "Ostera" we wsi Wandalin powiatu kraśnickiego. W 1944 r. wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego. Po latach wspominał: *Dość szybko jednak cofnęli mnie do rezerwy. Nie nadstawiałem bowiem łba bez potrzeby.*

Pierwsze lata powojenne Jerzy Ofierski spędził w Kaliszu i Poznaniu, gdzie studiował w Akademii Handlowej. Studiów jednak nie ukończył, bo nie zdał dwóch egzaminów. Później żartobliwie mówił o sobie: *Jestem takim o mało co magistrem.*

Właśnie podczas studiów Jerzy Ofierski rozpoczął działalność artystyczną. Brał udział w konkursach krasomówczych, zdobywał nagrody. Spróbował też swoich sił jako dziennikarz (pracował w poznańskim "Głosie Wielkopolski") i jako aktor (na scenie zadebiutował w 1949 r.).

Na początku lat 50. Jerzy Ofierski zamieszkał w Warszawie. Do stolicy przyjechał z żoną (ożenił się jeszcze na studiach), z którą przeżył ponad pół wieku.

"Nigdy nie miałem ochoty na rozwód. Ale zastrzelić



— tak! Nawet kilka razy. Siebie! Nie wiem, jak żona mogła tolerować takiego nieudacznika!" — żartował. Był bardzo dumny ze swoich dzieci: córki Małgorzaty, absolwentki Akademii Sztuk Pięknych, i syna Witolda, doktora filozofii.

Jego artystyczna kariera nabrała rozpędu, gdy zaproponowano mu występy w "Podwieczorku przy mikrofonie". To właśnie dla tej audycji radiowej stworzył postać sołtysa Kierdziołka z Chlapkowic — wiejskiego filozofa i komentatora bieżących wydarzeń, zaczynającego swoje monologi od słynnego sformułowania: *Cie choroba! Co to się na tym świecie wyprawia...*

Jerzy Ofierski jako sołtys Kierdziołek gościł w telewizji, radiu i na estradach, także tych zagranicznych. Występował w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Anglii, Francji, Belgii, Niemczech, Izraelu i Australii. W 1972 r. w plebiscycie polonijnej publiczności uznany został za najpopularniejszego polskiego aktora w USA.

"W tych moich monologach zawarte jest pół wieku Polski Ludowej. Mój sołtys to nie jest głupi chłop. On się śmiał z mieszczuchów, z urzędników, z ustroju. W PRL-u upominałem się o godność chłopca! (...) Szukałem pomysłu na uniknięcie ostrych ingerencji cenzury. Moja satyra nigdy nie sięgała wyżej niż prezes gminnej spółdzielni" — wyjaśniał Jerzy Ofierski. Słuchacze jednak

wiedzieli, że jego sołtys Kierdziołek, mówiąc o absurdach w gminie, kpił z oficjalnej propagandy sukcesu.

Postać sołtysa Kierdziołka przyniosła Jerzemu Ofierskiemu ogromną popularność. Został honorowym obywatelem wielu polskich wsi, co sobie bardzo cenił, Ostrowa Wielkopolskiego i Syracuse (miasta w stanie Nowy Jork w pobliżu jeziora Ontario). O tym ostatnim wyróżnieniu mówił: *Nawet Amerykanie mnie docenili. Mądrość mojego sołtysa zaczyna zdobywać świat*

Jego znajomi żartowali, że sołtys Kierdziołek gospodaruje na 11. piętrze bloku na warszawskim Mokotowie.

W 1989 r. Polskie Radio zakończyło emisję „Podwieczorku przy mikrofonie”. Sołtys Kierdziołek przeszedł na emeryturę, ale nie Jerzy Ofierski. Satyryk nie zamierzał odpoczywać. Zwłaszcza że publiczność o nim nie zapomniała i wciąż był zapraszany na gościnne występy. Jeszcze w 2006 r. bawił Polonię w Kanadzie.

Kłopoty ze zdrowiem zmusiły Jerzego Ofierskiego do ograniczenia liczby przyjmowanych zaproszeń, ale nie

odebrały pogody ducha. Najbardziej ubolewał, że jego nogi nie nadążają za głową.

“Cie choroba! Pod dachem wszystko działa, ale niestety nogi wysiadają. Moi koledzy już występują na Niebiańskich Łąkach, a ja? Mam tu jeszcze parę spraw do załatwienia, zanim pójde na niebieski remanent. Cie choroba!” — mówił.

Gdy nie występował, pisał. Miał 45 lat, gdy zadebiutował jako pisarz. Wydał 10 powieści, w tym trytomową „Nie było słońca tej wiosny” (została sfilmowana w 1983 r.), political fiction „Masakra w Holland Tunelu” i trytomową sagę chłopską „W imię ojca”.

15 września 2007 r. honorowy sołtys III RP (taki tytuł Jerzy Ofierski otrzymał w latach 90.) wygłosił przemówienie podczas inauguracji ogólnopolskiej kampanii wyborczej Polskiego Stronnictwa Ludowego. Zmarł 24 listopada 2007 r. Został pochowany na warszawskich Powązkach.

źródło: plejada@redakcjaonet.pl

Kalendarium





Do adwokata przychodzi biedna wdowa, prosząc o poradę prawną. Po skończonej wizycie adwokat zażądał 100 zł. Ta drżącymi rękami wyjęła banknot z portfela i podała radcy. Ten jednak po wyjściu kobiety zauważył, że ta pomyliła się, dając mu dwa sklezione banknoty stużłotowe. I wtedy stanął przed dylematem moralnym... Podzielić się ze współnikiem czy nie?



Norwegia:
Kobieta widzi 10 płaczących mężczyzn.
- Dlaczego płaczecie?
- Widzieliśmy, jak mężczyzna wrywa kobiecie torebkę, ale baliśmy się podejść i zareagować.
- To wezwijcie policję.
- To my jesteśmy policja...



Człowiek rodzi się mądry - potem idzie do szkoły.

Mały Giovanni, który jest synem szefa sycylijskiej mafii pisze list do św. Mikołaja: - "Mikołaju! Jak z pewnością wiesz, przez cały rok byłem grzeczny i sprawiłem mi wielką przyjemność przynosząc kolejkę elektryczną". W tym momencie koło pokoju chłopca przechodzi ojciec, więc mały Giovanni zaczyna pisać list od nowa: - "Mikołaju, byłem grzeczny, więc przynieś mi dwie kolejki elektryczne". Ojciec chłopca wchodzi do środka z kilkoma mafiozami, więc Giovanni zaczyna pisać list po raz trzeci: - "Mikołaju, jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek zobaczyć swoją matkę..."

Szef do pracownika:

- Niestety, panie Kowalski, nie możemy płacić panu większej pensji.
- Jak nie możecie płacić większej, to może chociaż częściej?

- Panie doktorze, coś mnie kłuje w lewym boku.
- To dobroć, zaufanie i współzucie.
- W jakim sensie?
- One zawsze bokiem wychodzą.



- Zapomnij wszystkiego, czego nauczyłeś się na studiach. W naszej firmie liczy się praktyka, a nie teoria.
- Ale ja nigdy nie byłem na studiach.
- A, to przykro mi, ale nie masz odpowiednich kwalifikacji, by tu pracować.

Nowy Rok w Zakopanem. Do zatłoczonej knajpy przy Krupówkach wchodzi młody mężczyzna. Rozgląda się za wolnym miejscem i w końcu podchodzi do stolika, przy którym siedzi tylko jeden gość.

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?
Siedzący schyla się pod stolik i pyta:
- Janeeek, bądźziesz jesszczeee siedziaaą?

Wigilijny wieczór. Ktoś dzwoni do drzwi. Kobieta otwiera i serce skoczyło jej do gardła. To jej mąż. Ledwo go poznała! Ostatni raz widzieli się, kiedy ich synek - dziś prawie dorosły - szedł do przedszkola...

- Cześć - mówi facet.
- Cześć? - pyta kobieta. - Piętnaście lat temu wyszedłeś z domu po papierosy, teraz wracasz i tyle masz mi do powiedzenia?
- O rety, masz rację! Papierosy! Czekaj, zaraz wracam.

Stoi żona przed lustrem i mówi do męża:

- Kotku, prawda, że nie wyglądam na swoje 34 lata?
- Oczywiście, że nie, kochanie! Już dawno nie...

